

JAN PRZYBYSŁAW MAJEWSKI

W i e r s z e

PYŁY ODBITE WE MGLE

**Odnalezienie juvenilia -
Wiersze z lat 1942 - 1948**

CIEMNA NOC

Co można czynić,
gdy noc za oknem pochyła się ciemna,
ćmy niespokojnie krążą pod sufitem,
i niecierpliwy gest dłoni nie zdoła
odpędzić westchnień co są takie ciężkie?

Co można czynić,
gdy wichur pędzi - i pieje swe żale,
by runąć w otchłań bezgranicznej pustki,
w której dogasa nadziei czcza iskra,
nic nie zostało ze snów i przewidyń?

Co można czynić? –
Czy wsłuchać się w rytm samotnego serca
i – gdy na ziemi ciemność wszystko kryje,
noc chluszcze strugą ulewnego deszczu,
czuć, jak za ciepłem moje serce tęskni?

Jesień, 1942r.

NIEWOLNICY

Wypłuci przez nieczułą maszynę dnia,
my – pół-surowiec, pół-produkt,
znajdziemy chwilę opamiętania
o krok przed ciemną głębią snu,
kiedy uchem wciśniętym w barłogi
będzie nam wolno słyszeć serca łomot,
zrozumieć z nagłą, żeśmy ludzie żywi,
i zaraz o tym posłusznie zapomnieć...
Dla nas radości nigdy nie odnajdzie
nasz z dawna ślepy, chromający los!
Oddech nam zduszą lepkie popioły,
sen ciała bryłą kamienną przywali
i pełzających z wolna w półmroku dni,
blask zawiedzionych pragnień nas wypełni,
kiedy się modlić będziemy pokornie
już o ostatni z naszych długich dni.

Zima, 1943r.

KRES

Kiedyś i kres łagodnych oddaleń nadejdzie,
które były lat młodych urokliwą łąką,
nadal jeszcze widoczne, hen, u widnokregu
przez pył szary znużenia – przez pochyły zachód.

Kres nadejdzie i krzewom,
co ciągle za nami
powiewają strzępami
czarnej melancholii...

Ta nawałnica zniknie zjeżona gromami,
rozświetlona złowróźnie
nad serc potokami...
Zacichnie ta udręka, zacichnie
to powolne wciąż-krwi skapywanie!...

Rozplyną się w mgławy niebyt
zdeptane szczątki traw i martwych głów,
i te ptaki niebieskie, którym zdławiono pieśń,
i to wszystko, co ledwie gorzką

pozostając częścią,
nie udane, nie pełne – a już – beznadziejne.

Marzec, 1944r.

LUBIĘ IŚĆ...

Lubię iść w złoty zachód,
w ulic pustkę długą,
kiedy podmuch namarszczy
w kałużach tęsknotę...

Lubię iść ku odległej
śmierci niewiadomej –
przed siebie, kiedy bardziej
niż szkło przezroczysty,

przekwitającym duszom
kradnie wiatr nasiona,
i moje też porywa
dojrzałe cierpienie,

trzepocąc jego łuną
nad zmierzchów milczeniem...

Wiosna 1948r

PYLY ODBITE WE MGLE

OD AUTORA DO –

Nie po kolei przedstawiam swe wiersze
– Niech ludzie i ptaki
wspólnie je złożą w sensowną całość
podług formy i treści –
Niech się trochę potrudzą i podejmą udział
w dziele poety – zanim się wygodnie
rozsądzą wokół niego niczym przy ognisku –
i już ze zrozumieniem – uładzone
ponownie zaczną (je) czytać

DO MOJEJ CIEKAWOŚCI

Dopóki nie dorosłem
codziennie wybiegałaś ze mnie
moja ciekawość
coraz śmielej i dalej przez otwory źrenic

I nie zdarzyło się ni razu
abyś mi nie przyniosła jakiegoś motywu
stamtąd – gdzie byłaś – na zamyślenie
albo na czynność

Kiedy mnie napełniłaś
powyżej oczu
uzbieranymi fragmentami świata
powiedziałaś: Dosyć

Chyba nie spodziewałaś się
że ich porządkowanie zajmie resztę życia –
Polubiłaś tę pracę – śledząc – jak dojrzewam w miarę
powstawania ładu

O niestrudzona – dzisiaj – pod kopułą nieba
inaugurujesz we mnie
pomnik muzeum – przechowalnię
zapomnianych rzeczy

Urządzasz mnie tak
jak gdybyś miała niezachwianą pewność
że to wszystko coś wniosła – cały ja
potrwa o wiele dłużej

niż dom podwórze słońce ziemia –
Zobowiązany twoją postawą
patrzę bez trwogi na gasnącą zorzę
za którą czeka na nas nieprzejrzana ciemność

WIDZENIE

Był taki moment w moim życiu
jak błyskawica – w blasku którego
nikło
każde żywe stworzenie na które spojrzałem –
a w jego miejscu kłębił się niby-dym

Również i ja –
kiedy mnie przeniknęła
ta prędką jasność
stałem się czymś podobnym do przyciemnionego
ziemią – wiru niby-iskierek

I równie nagle to niezwykle światło
przede mną się otworzyło
jak płonące drzwi
wraz ze stojącą w ogniu futryn
grzmiącą postacią głosu

I usłyszałem: – Oto ci dano
ujrzeć życie we mgnieniu zupełnie inaczej –
Patrzysz człowieku na odwieczną
niezniszczalną energię
wciąż buzującą w nikczemnej powłoce

Natychmiast po tych ognistych słowach
zimny wicher atomów
zatrzasnął z hukiem gorejące wrota –
i spoglądałem znów
na zwykłą formę żywych stworzeń

która w nigdy nie wyciszonym echu
owej grzmiącej prze-mowy – cichej jak szelest zórz
wydała się w przyziemnej skali
mojego wzroku
znacznie piękniejsza niż wpierw

KUKUŁKA

Bociani klekot przykuwa do chaty
dudnienie dudka wikła w gąszcze
gdzieś nieopodal –
Tylko kukułka pełna wiosennego śmiechu
otwiera swym donośnym głosem
przeźren na dal

Każdym – kto się wsłucha w jej zew
rychło owłada wędrownym popęd –
Lecz gdy posłuszny ptasiej woli
zapyta: Dokąd –
ten ptak mu na to nigdy nie udzieli
odpowiedzi

Jedynie z coraz dalszego drzewa
usłyszysz coraz bardziej naglące kukanie:
Idź dalej – dalej –
A kiedy wreszcie umilknie kukułka
bór się nastroszy głuchą ciszą –
uprowadzony już nie rozpozna

ani gdzie się znajduje – ani pory roku
ani drogi do domu
– I choćby nawet doczekał się z nową
wiosną – powrotu kukułki –
ona mu nie pomoże: – znów będzie z oddali
kukać jak dawniej: Idź dalej – dalej

OPIEKUN

Nie spytało dziecię:
Gdzie się ukrywasz Opiekunie –
Przebiegło kilka kroków
po śladach Jego stóp na rannej
rosie

Ujęło Jego ciepłą dłoń z kamyka
i szło z Nim w pobliski
świat – jak to dziecko
skacząc na jednej nodze – i rozglądając się
na wszystkie strony

Akurat była niedziela –
i dziecię całkiem rozporoszone pośród
skarbów okolicy
ani spostrzegło jak je ów zacny Opiekun
przywiódł do wrót kościoła

Skąd ufność taka w dziecku – gdy nawet
nie wiedziało kto to – ani nie znało
imienia tego Przyjaciela
co patrzył na nie z góry oczyma jak niebo –
a uśmiech Jego – igraszka promieni

Dorosło dziecię – i chociaż życie
legło tragicznym cieniem
na myślach sercu i wspomnieniach –
to przecież nigdy nie udało mu się
usunąć z pamięci

tamtego spaceru sprzed lat
ręka w rękę z nieznanym mu jeszcze
wtedy z imienia Bogiem – do progu kościoła
– Wspomnienia które obecnie im ciemniej
tym bardziej świeci pośród mroku

PREZENT

Mumie trzech egzotycznych motyli w gablotce
– prezent na imieniny
od podróżnika –
Trzeba uśmiechnąć się i podziękować

Lecz gdzież podziały się:
promienna chwila – i gorejąca
przepyszny kwieciami okolica –
Mój darczyńco
czy mi je kiedyś dopowiesz

TYCH DWOJE

Niczego nie zmieniły wieki:
w każdym momencie można napotkać tych dwoje
co jeszcze wczoraj by nie uwierzyli
w to – co nazajutrz ich spotka –
Wyśmieliby wróżby

Bo moment zakochania ukrywa się nieraz
w czasie – tak jakby pragnął
przez zaskoczenie
wpierw olśnić wzrok – zanim radością
napęlni oba zaskoczone serca

Czasem wystarczy przelotne spojrzenie
gest – brzmienie głosu nastrój chwili –
i już miłosny duet
jak na wiosennych skrzydłach wiatru
dociera naraz w wszystkie zakamarki świata

Błogość zauroczenia
całkiem wypiera codzienną oschłość
– Miłości się nie odczuwa
jest jak oddech –
A gdy ktoś spotka na swej drodze

tych dwoje – i zapyta: Kto idzie –
żaden mu dwugłos na to nie odrzeknie:
To my – lecz tylko jeden rozradowany głos
odpowie mu: Ja idę

jakby zewsząd po rosie ptak czy dzwon zaśpiewał
i zapadł w słodką drzemkę –
Niczego nie zmieniły wieki
poza tym – że coraz bardziej samotny
człowiek – łatwiej się godzi na namiastkę szczęścia

DWIE RADOŚCI

Cóż znaczy radość powieściopisarza
z ukończenia
kolejnego tomu
wobec uciechy dziecka –
któremu po raz pierwszy udało się złożyć
kilka niezgrabnych pojedynczych liter
w wiekopomne zdanie:
A l a m a k o t a

OKUPACYJNY EPIZOD

Przejechał samochód
psy zaszczeły wzdłuż ulicy –
przestrach oniemiał gardła:
Po kogo dziś

Czy to rosa czy pot
pokrył o świcie uśpioną ziemię –
Nagły pisk opon
przed domem nauczycielki: – To po nią

Wrzask cisza wrzask:
Wyskoczyła przez okno – za nią krótka seria:
splunięcie automatu –
Drgające ciało na murawie

Czerwone morze –
I znowu: wrzask cisza wrzask:
ordynarne przekleństwa w języku nadludzi
verfluchte schweine

Uciekła przepióreczka – pani
od polskiego –
Poszwargotali odjechali –
Ulicą przemknęło westchnienie ulgi

Zadzwoił ptak
ktoś cicho zapłakał –
Mocno zacisnęły się
nieubłagane pięści zemsty

Bóg był daleko –
bardzo daleko od ludzkich serc

O FAŁSZOWANIU ARCYDZIEŁ

Zawsze mi były nieporównanie
bliższe – od zręcznych dłoni mistrzów
na klawiaturze
oryginalne pienia natury

Cóż może człowiek więcej niż kopiować
jej fragmenty
(przelotnie dostrzeżone) w nietrwałym tworzywie –
zapomniane po chwili

Nie warto by wspominać o tym
gdyby tak zwanej ludzkiej twórczości –
za każdym razem wiernie
towarzyszyła

szczerą modlitwą i wdzięczną pokorą –
Tak było niegdyś – lecz z czasem
błuźniercze słowa wyparły pacierz
pycha pokorę

W cień usuwana jest prawdziwa sztuka
przez ignorantów i fałszerzy –
i człowiek coraz bardziej zatruty erzacem
zapomina o

oryginalnym dziele bożym –
przedkładając ponad nie wirtualny koszmar
bez przerwy serwowany mu nachalnie
na ekranach – wszędzie

I próżno podnosi głos
natchniony prorok czy poeta –
bezzadnie patrząc jak na jego oczach
nuża się boży świat na tle

jaskrawej orgii
w plugawych ekskrementach –
Czy właśnie taki miałby być na każde
jutro – powszedni dzień

Tylko pod pełnym grozy wygaszonym niebem
stare drzewa wciąż szumią
W i e l k ą M s z ę Bacha – rozjaśniając nią
posepną przyszłość

PIOSENKA O IKARZE

Od rana pełno wiatru w pokojach
i dziwna jasność w mieszkaniu i w głowie
– przewiewnie tak –
Dom zda się płynąć w przestronną dal
na białej fali światła

Lekkim snem napełnione – uwolnione od trosk
ciało
lewituje jak piórko pod sufit –
znika na chwilę czucie własnych granic
– Sam w przestrzeni jak ptak

kraży dumnie
póki go nie dopadnie ostra strzała trwogi –
nie strąci na bruk
– Cóż z tego że jeszcze żyje
znowu pod prąd – pod wiatr

Czy widziałeś Ikara
pytają
– Potakuje bolesnym szeptem:
Sam nim jestem –
za chwilę lotu skazany na ziemię

Od rana wieje
– pełno wiatru w pokojach
przedziwna jasność między kolumnami –
Skrzydeł nikt nie porusza:
leżą jak szczątki ptaka pod wawrzynem

wpatrzone w swój legendarny
podobłoczny lot
– Pełno wiatru w pokojach
gwałtowny przybój świetlistej przestrzeni –
Przewiewnie tak

NIE ZŁAPIESZ – NIE ZATRZYMASZ

Spójrz – pamięć jest jak woda
w brzegach milczenia
której głębinę zdradza spokój toni

Wspomnienie jest jak ryba która nagłe błysnie
wzbudzi krąg fali – natychmiast zgaśnie –
Nie złowisz – nie zatrzymasz

Tylko w tej fali póki nie zniknie
możesz zobaczyć dawne z bliska
rybaku wierny odległej chwili

Widok nie potrwa długo
choćbyś go wiązał do dziś przymilnym uśmiechem
wstrzymywał smutkiem – skrapiał łzami

Nie próbuj nawet –
Popatrz – i zwróć go pamiętliwej wodzie
namaść zmarszczone tonie spokojem

Tak będzie lepiej dla was obu
rozstać się bezboleśnie
tutaj – na skraju czasu co wciąż płynąc dalej

ustanowił dwa
bezkolizyjne nietrwałe ośrodki
dla twego teraz i dla wspomnień

Mój rybaku –
mój leciwy rybaku – spójrz:
oto błysnęła rybka i zniknęła w głębi

TRZY MOGIŁY

Wspomnienie odnalazło ten widok
Stary fragment cmentarza tonął już w wieczornym
cieniu – Tylko nad nową kwaterą
gdzie od niedawna były trzy grobowce
i jeden świeżo wykopany dół –
oczekujący
– Tylko nad tą kwaterą mieniła się jeszcze
blaskami zorza

I znów po latach widzę we wspomnieniu
drżące w tańcu biodra dwóch
sióstr bliźniaczek – tancerek – które
niegdyś zginęły
w płonącym samolocie –
Ocean jest ich kolebiącą trumną

Nad drugim grobem widnieje
ramię – zgięte pod mleczną piersią młodej matki:
podnózek dla stóp noworodka –
Zmarła – zanim zdążyła nakarmić
swe pierworodne dziecko –
Tu miejsce jej spoczynku z zorzą u wezgłowia

Nad trzecim grobem pusto – kochankowie
których miłośnie i trwożnie
splecione ciała
zdmuchnęła z czasu ołowiana salwa
szybko umknęli stąd w poemat
– Jakaż tu swojskość:
cisza jak nikły zapach zaszuszonego kwiatów
coś niby babie lato

powój – rozleniwiony spokój
Zmierzch sływa lekko – otula głowę –
Wcale się nie chce opuszczać wspomnienia
powracać do siebie

ZAWILCE

Któż by pomyślał:
Zawilce miarą czułości serca –
i kto by pojął że ten żywy
niby-śnieg
to najwrażliwsze czułki wiosennego boru

Czy kukułka wie o tym –
czy śpiewa o tym nowonarodzony
po zimie wiatr

Czy ktoś spodziewa się
że ten z pozoru szorstki człowiek
zatrzyma się i szepnie – jakby mimowoli:
Nie mogę zdeptać ich – i zawróci

Czy ktoś to kiedykolwiek
ujął tak – zanim przekwitłyście
o anemony –
Czy niechcący zrozumiał

POWINNOŚĆ

Ta powinność wydaje się być
nie do spełnienia: –
aby pokochać bez oporu wszystkich
bliźnich – tak aby każdy z nich poczuł
na swym ramieniu przyjazną dłoń

Jak można to osiągnąć
jeśli na każdym niemal kroku z cizby
wionie mrożąca obcość – i co chwila czyjaś
sroga dłoń chwyta kamień
aby go cisnąć w otwarte serce

Zadawniony to odruch – odkąd
nieufający sobie ani otoczeniu
człowiek
zamieszkał niegdyś pełną skrytych gróźb
oporną ziemię

Każda komórka jego ciała
wciąż jeszcze krzyczy: Strzeż się –
Jakże więc mógłby przychylić się do
tego – co tkwi w nim ponad wszelką bojaźń
i nakazuje: Pokochaj

A jednak coraz częściej tłum wydziela z siebie
takie jednostki – wyłomy w murze
– i chociaż nieraz je zabija
coraz to bardziej uświadamia sobie –
że bez miłości nie uda się

niczego zmienić
choćby tylko na odrobinę
lepsze – ani osiągnąć trwałego spokoju
ani się cieszyć krótkotrwałym życiem
z nadzieją na wieczność

Stąd to w człowieku ziemi przed
dwoma tysiącami lat
gwałtownie rozgorzała święta wojna –
w której – mimo że ciągle jeszcze się wydaje
niemożliwe – zwycięży miłość

Jego miecz na szali –
i jak kwiat z ognia – krew męczenników

KROWY

Czyż trzeba pytać czyja troska
stworzyła krowy
– i choćby tę tu – która leżąc w trawie
z wolna przeżuwa czas
podobna w tej czynności do polnego głazu

Wieki przechodzą przez jej żuchwę
starte na pył –
i tylko jedna chwila
zawisa nad nią jako nieuchwytnie teraz –
cichy zgrzyt świerszcza

O – nikt się nie doliczy
ile zamierzchłych tysiącleci
potrzeba było na
pełny dzban mleka
ile cierpliwie wykoszonej łąki

Kiedy się słońce zaćmi wieczorem
podźwignie się krasula razem z okolicą –
i powracając do obory starożytnym traktem
wiernie doniesie ją – zaczarowaną
w mleko – w ramiona dojarki

Jak gwiazda przemknie przez krowie oczy
odległa przeszłość – i ciepłe mleko niczym biały obłok
tryśnie w czerep garnka –
Ciekła manna popłynie przez głodne epoki

BYŁEM

Byłem tam – pośród rozstrzelanych
na kolejowej zapomnianej rampie –
W świetle latarni trzepotała się
północ – Tu było cicho a tam pociąg grozy
już się rozpląwał w mroku
złowieszczym jak śmierć

W wodnistym rowie niczym spadły księżyc
widniała czyjaś blada głowa
z której wзираł głuchy i ślepy
labirynt mózgu:
zgasłe światło Syjonu –
Tylko ono by mogło objaśnić pył myśli
w tej roztrzaskanej kuli czaszce
opodał mnie

ZŁUDNE PODOBIENSTWO

Wiosna po wielu zimach całkiem jakby tamta
– niezapomniana –
znowu rozkwita żółto i liliowo
na tle zieleni pod obłokami

I wiatr podobny do dawnego
powtarza bieg na przełaj –
Bliźniacza ścieżka wije się się skrętami
tak jak przed laty ku południowi

Strumyk co dawno wysechł wciąż płynie jak dawniej
i cisza na rozstajach – jak tam
leży odłogiem –
Brzozy wciąż świecą o zachodzie słońca

Wszystko się zgadza oprócz dat:
– tej co niegdyś wryta
niżej dwu serc na korze stuletniego dębu
z tą terazniejszą

Miejsce niby to samo
lecz całkiem inna czasu okolica –
Nikt się tu nie oznajmia – ani
nikt nikogo nie wita – nikt nie żegna z żalem

ZJAWA

Choć upłynęło już kilka dni
od chwili kiedy ujrzałem tę postać
tuż po obudzeniu –
stojącą nieruchomo przy krawędzi mego
łóżka

wciąż się nie mogę otrząsnąć
z porażającego wrażenia – jakie
uczyniła na mnie
– Był to niby-mężczyzna w szarym garniturze –
jakby rzeźba z grafitu

przerazająco obca chłodna
obojętna –
lecz jakby napełniona przytłumionym żarem –
Ten niby-człowiek milczał
nie patrzył na mnie – Patrzył w bezgraniczny

świat – i przenikał go na wskroś
swym mrozącym
pełnym tłumionej grozy spojrzeniem –
Jego okrągłe ptasie matowozielone oczy
wprawiały w drżenie świat i ziemię

Do dziś nie umiem odgadnąć kim był:
czy śmiercią – czy kimś bardziej straszonym –
Kimś – kto na mgnienie zerwał
zasłonę czasu – aby mi oznajmić
co – Przypomnieć o czym –

BALLADA O IGLE

O igle do szycia
zwykle na chwilę robi się głośno
kiedy niechcący do krwi
ukłuje palec

Z natury skromna i raczej nieśmiała
nigdy się nie przechwala swoim
zaczynym rodowodem
który początkiem sięga lodowcowej ery

To w tamtym zamierzczłym czasie
kobiety nauczyły się zszywać
zwierzęce skóry przy pomocy
rybich ości

Dzisiejsza igła – niezwykle szczupła
z pozoru nie do poważniejszej pracy –
w rzeczywistości dorównuje
najlepszym pomocnikom

Ileż sprawia kłopotu – ile zamieszania
kiedy się zgubi
– ile radości gdy się odnajdzie
tak nikła w wielkim stogu siana

Tylko tych kobiet nikt już nie odszuka –
co po omacku nawlekały
nić do cerowania
dziurawych skarpet mężów i dzieci

GOŚCIE

Zapada zmierzch – gasną pokoje
krajobraz znika z oczu
– za oknem krzepnie tajemna cisza –
Tylko drzwi obdarzone mechanicznym głosem
mówią za głuchoniemych domowników:
Odejdź lub Proszę

Sen nie puka:
w miękkich jak kocie łapy pantoflach
– nie mącąc ciszy
wchodzi z sierpem księżycy na zwichrzonej głowie –
i z przepowiednią ukrytą w dłoni
siada obok wezglowia

Opowiada maluchom kolorowe baśni
wymienia z nimi przyjazne uśmiechy –
Zakochanej dziewczynie na serdeczny palec
niza zaręczynowy
pierścionek – Kładzie na lica
pąsowy makijaż

Znużonym starcom przywraca młodość
zdejmuje z piersi zmorę:
– znowu biegną przez lato za złotym motylem
wirują w walcu na swym pierwszym balu –
Wchodzą parami – jak przed laty
w dorosłe życie

O świcie sen ich dyskretnie opuszcza
tą samą drogą którą wszedł wczoraj –
Pokoje milczą – Z wolna
rozjaśniają się
– Drzwi po chwili wahania mówią komuś: Proszę –
Wchodzi szara codzienność

PORA ZWIERZEŃ

Nie jest jeszcze na nic za późno
– Dopiero co
wieczorna zorza podzieliła dzień
na większość i na resztę

Tę większość po wierzch napelnioną
zdarzeniami
już zabrał przeszły czas
do mauzoleum woskowych figur

Ta reszta czeka na nas
jeszcze dziewicza w przytulnym zmierzchu –
W smutnym spojrzeniu gasnącego słońca
żaby zaczynają koncert

miękkim legato –
Wszystko tutaj zachęca
do zwierzeń – choćby ta cisza w której
słysząc jak kwiat się składa do snu

Nim noc zapadnie powiedz coś:
jakieś miłe słowo –
Nie jest jeszcze na nic za późno
i ta spokojna błękitna chwila

wierz mi – znieczuła:
ż a d n e s ł o w o n i e b o l i

WIĘCEJ NIŻ PRZECZUCIE

Kiedy się ciało obróci w proch
ta sama ziemia która go przykryje
ukłęknie niczym wierny pies
u stóp mej duszy
niepewna siebie i całkiem bezradna –
i tak jak on – pytająco – spojrzy mi w oczy

Nie pytaj mnie skąd o tym wiem
bo tego nie wiem –
lecz przecież to przeczucie które z każdą chwilą
coraz to bardziej krzepnie we mnie w pewność
musi mieć swoje ukryte źródło
gdzieś na zewnątrz – w pobliżu

Rozglądając się za nim po niebie i ziemi
wciąż jeszcze nieuchwytnym –
coraz częściej zamyślam się nad
ojcem Pio –
Jakie było jego przesłanie – gdy
demonstrował przed ślepym i nieufnym światem

znamień niezwyklej mocy
jeszcze nie całkiem uwolnionej z ciała
świętej psyche –
I coraz lepiej dostrzegam światło
padające od jego promiennej postaci
na moją drogę

i na drogę wielu uwikłanych
w pozornie ważne sprawy tego świata

WSZYSTKO NARAZ

Spoza stodoły wyblysnęło słońce
na podwórzu stryj karciał psa –
i wniebogłosy gdakała nioska

W ogródku kret ukończył
usypywanie kolejnego kopca –
w kwitnącym sadzie szumiały pszczoły

Wiatr zmiatał z nieba strzępki uchodzącej chmury
krzepko przeciągał się młody dzień –
W otwartym oknie

mała jasnowłosa Hania
zanosila się perlistym śmiechem
bez widocznego powodu

Sąsiad brodząc po rosie
pozdrowił stryjka przez płot: Pochwalony –
Życzliwość udzieliła się światu

Dym z komina w wesołych skrętach
bił prosto w górę –
powszechna radość przepelniała serca

W s z y s t k o n a r a z

ŻYCIE I ZIEMIA

Ledwie domyślam się
co miał na myśli Thomas Merton
w tej chwili – kiedy z naciskiem napisał:
Jestem ziemią

Natomiast bez żadnego trudu
nie tylko zrozumiałem –
lecz również jasno zobaczyłem rację
starego rolnika

gdy pokazując mi swe pole
rzekł tak po prostu
ni to do siebie – ni to do mnie:
To moje życie tutaj

I nie zdziwiło mnie –
podówczas chłopca
kiedy odkrywając głębszą warstwę gleby
powiedział o niej: To moja przeszłość

I pokazał mi – jak z niej wschodzą –
i przebijają się na powierzchnię
uprawnego gruntu
chwasty i zboża

Taką odziedziczyłem – dodał
– Niczego więcej nie musiał tłumaczyć –
Z przerażeniem patrzyłem jak na mej chłopięcej
działce

bujnie rozrastał się perz –
i dławiał na mych oczach różę
zasadzoną troskliwą ręką mojej matki
u zarania mej nieznannej przyszłości

Wokół mnie klęczały kobiety
– i nieprzerwanie pełły
co dzień na nowo zachwaszczoną ziemię
pod gorejącym na niebie słońcem

ŻUK

Leżałem na trawniku
opalałem się –
powietrze było nieruchome

Z kreciego kopca zsunął się niezgrabnie
nieduży żuk –
i ruszył z wolna w moim kierunku

Nie było w tym nic niezwykłego –
W pełnym słońcu dokładnie widziałem najmniejsze
szczegóły jego ciała

Tak – nie było w tym nic niezwykłego
póki nie zaczął gwałtownie rósć –
przeobrażać się

Jego odnóża wkrótce
przemieniły się w gąsienice czołgu
– zachrzęściły

z oczu trysnęły pociski –
Przez moment wielka miazdząca bryła
zawisła groźnie ponad moją głową

Ach – nie stało się nic:
obezwładnił ją odpływ wspomnienia –
i wkrótce znowu mały lśniący niezgrabny żuk

przemierzał trawnik –
ale już w całkiem przeciwnym kierunku

WYROK NA CIAŁO

Odbicie w wielkim lustrze
odziedziczonym po rodzicach
nie pozostawia najmniejszych złudzeń:
ciało którego niegdyś – kiedy było młode
prawie nie czułem
dawno należy do przeszłości

Teraz to zmięty przenoszony ubiór
co najwyżej
jeszcze na kilka lat –
W dość dobrym stanie zachowały się
dwa nieodzowne centra:
serce i mózg – z których bez przerwy

rozprzestrzenia się w eter – to czego nie można
zmierzyć ni zważyć
Zastanawiam się – rozpatrując wszystkie
za i przeciw:
czy mam ci być wdzięczny – ciało
czy przeciwnie – żywić urazę

Tymczasem lustrzane
odbicie mych ust
po ukradkowym porozumieniu się
z odbitym w toni lustra wzrokiem
ogłasza prawomocny wyrok wraz z uzasadnieniem:
Było najlepszym odzieniem

na podróż po ziemi –
Przyjmuję wyrok – i wobec bliskiego
rozstania z tobą ja – ktoś całkiem
sobie nieznany
z niekłamana wdzięcznością i szczerym wzruszeniem
dziękuję tobie ciało

ROCZNICA

Każdą rocznicę utracenia
przed dwudziestoma laty podczas wojny
najbliższej mu osoby – starszy pan z sąsiedztwa
obchodził bardzo uroczyście
na ocalałym z budowniczej hossy
mocno już oklapniętym – łysym
pagórku z gruzów –
Nikt dokładnie nie wiedział
co się w tym miejscu przed laty stało –
lub – jeśli wiedział – starał się zapomnieć

Przyjeżdżał zawsze pierwszym porannym tramwajem
i wprost z przystanku podchodził z wolna
do rumowiska
– Zapalał świece – składał kwiaty
oddawał cześć okrągłą minutą milczenia –
Tuż przed odejściem wypowiadał szeptem
jakby z proroków księgi wziętą
maksymę:
„Nic się nie może stać więcej w miejscu
gdzie już się wszystko dobro i zło dokonało”

Dwudziestą pierwszą rocznicę opuścił
– następne też –
Uliczna plotka doniosła że zmarł
– A tu – gdzie niegdyś szeptem co roku rozmawiał
z bliską osobą – składał kwiaty
zapalał znicze – czas zrobił swoje:
osierocone wzgórze zrównało się z ziemią –
i nędzny kundel pozbawiony domu
wygrzebał zeń
ludzką nie-ludzką kość

BRZozowe wieczory

Inne wieczory są pośród brzoZ
niZ gdzie indziej –
O jakZe byłem zakłopotany
wóWczas – gdy po raz pierwszy spostrzegłem tę inność
nie wiedząc na czym konkretnie polega

Czy kolory – głoSy –
Nie od razu objawia się
nieuchwytny –
Wiele razy musiałem błądzić pośród żywej
bieli – o każdej porze dnia i roku

zanim udało mi się dokładnie
ustalić w czym rzecz –
Niewiele tego – a jednak
o ileZ inny czar i piękno
i – odczucie

Zawsze to było raczej
słabością zmysłów niZ tajemnicą:
– nieco różowsza niZ gdzie indziej zorza
trochę bardziej błękitny zmierzch –
bledsza cisza

Tyle znalazłem w tobie
odrębnej treści –
pilnie składając ją przy księżycu
z najmniejszych odrobinek – o olśniewająca
upiorną bielą pośród cienia nocy

i jasnym blaskiem o poranku
jakby od święta – kolumnado brzoZ

OSTATNIE ŻYCZENIE CASANOVI

Odwieczny łowca już blisko:
tak sędzę – gdyż
coraz częściej nachodzi mnie myśl
że któraś z was – moje piękne panie
powinna jednak mocno trzymać mnie za rękę
gdy przyjdzie pora

Chciałbym żeby to była
ta spośród – co najczęściej przeze mnie płakała
– Osądź mnie pani za to że nie byłem nigdy
surowym panem własnego serca –
Wybacz mu – bowiem – chociaż tak niestałe
zawsze kochało szczerze w wielu tylko jedną

Cóż winne że tak czułe
każdą pieszczotę zapamiętało –
Więc pani – która najczęściej wylałaś
z jego powodu łez
przemyc dziś w twojej małej dłoni
j e d n ą z n i c h – tak jak przed laty przemyciłaś list

Czeka nas długa droga
za oknem stoi szkarłatna karetka
z podków spadają iskry na bruk –
Ogień jeszcze nie wygasł – mimo że twe imię
z zaułków ciemnej nocy
przywołuje śmierć

LOKATORKA

Miłość która nie potrzebuje
znajomości –
ani przed którą nie rozstępują się
przestrzeń i czas – lecz mimo to
rozpoznają ją
i nie widząc widzę

Wprowadziła się do mnie po cichu i skrycie
– mieszka –
Wstrzymuję oddech by jej nie wypłoszyć
z mego serca
które obrała sobie
bez mojej wiedzy za mieszkanie

Nigdy nie słyszałem
jej głosu – choćby wyszeptanego
Głos jest zbędny – albowiem ona
najpełniej się wyraża w dyskretnym milczeniu –
Jest moim życiem – i cierpię na myśl
że mogłaby stąd odejść

MIŁOŚĆ ZNIKA I WRACA

Mijają dni i noce
mijają wieki –
W proch rozsypują się uniesione
przez krótką chwilę w b e z g r a n i c z n o ś ć
oddzielne – raptem zjednoczone ciała

A oto wkrótce w nowym wydaniu
znajdując w prochach iskrę –
znowu pędzą ku sobie obce i samotne
poki jej razem nie rozniecą
w olśniewający ciemne światy pożar

O – właśnie wtedy wraz z westchnieniem
bezbrzeżnej ulgi –
na krótkotrwały moment współdoznania
znika miłość –
bo po cóż by pragnienie w chwili posiadania

Wróci natychmiast – kiedy tylko
ochłodną ciała
aby je wprowadzić znów w miłosny pęd –
jak przedtem obce sobie i samotne
nim się obróć w nieczuły pył

WEJŚCIE W OCEAN

Julii Hartwig

Nie wtedy wchodzi w ciebie oceanie
człowiek – kiedy zanurzy w tobie swoje stopy
ni – gdy poczuje twój chłód na biodrze –
A nawet i nie wtedy
kiedy mu parskasz w usta pianą
gdy tonie

On wchodzi w ciebie jedynie z tą chwilą
w której w swym wnętrzu zbudzi uśpione
dorównujące twoim potężne żywioły
pozostawiając na słonecznej plaży
resztę siebie
aby nie przeszkadzała w niczym

Sztorm trafi na sztorm
wzburzona fala na wzburzoną falę
mrukliwa głąb na mrukliwą głąb
wir na wir – porywcze prądy
na porywcze prądy
słona piana na słoną pianę – rozjuszony

ryk – na rozjuszony ryk –
I tak dokona się prawdziwe wejście
człowieka w ocean
jak rozognionej głowni w lodowate wody
z zamierającym sykiem –
Naraz otworzą się wszystkie bramy

Po czym już tylko toń uspokojona
jak okiem sięgnąć pod pogodnym niebem –
i porzucona gdzieś na zapomnianym brzegu
już niepotrzebna –
być może nigdy nieistniejąca
w r z e c z y w i s t o ś c i reszta siebie

PO POŻARZE

Więc – nareszcie
przekroczyłem ten wiek
w którym młode jędrne kobiece ciała
tak łatwo podpalają męską wyobraźnię –
i utrzymują obieg krwi w punkcie
permanentnego wrzenia

Teraz już mogę spokojnie
zastanowić się
nad tą bujną pożogą – która pozostawia
wystygłe zgliszcza i smutne popioły –
Na szczęście dym ich już nie przesłania
ostatniego odcinka
utartej drogi

I kiedy zwiędłe usta szepcą:
Nie czas żałować róż gdy płoną lasy
ponad ponurym Styksem – ja tylko
do tej j e d n e j mówię:
Podaj mi dłoń –
oreź na trudną drogę

DO ZAPOMNIENIA

Nie – nie zanosi się na wiersz
– Jestem jak pusty – wymieciony przez wiatr
wczesno-poranny skwer
w pośrodku miasta pierzchających snów –
choć jeszcze wczoraj byłem brzegiem oceanu
gromadzącym wyplute przezeń
śpiewne muszelki

Byłem szczytami gór – które słońce
złotym powrółem krępowało w stogi
blasku – nad umajoną kwiatami doliną
– i byłem organami szumu
w cienistych nawach boru –
Jakże niedawno budziły się we mnie
i zasypiały piosenki ptaków

Dopiero co – przed chwilą
noc niczym wielki ociemniały pajak
splatała w moim wnętrzu księżycowe sieci
z drżących promieni gwiazd –
łowiąc w nie błysk drapieżnych źrenic
– sny i obłoki
na fenomeny do zapomnienia

Lecz oto teraz przykuty do miejsca
nad blatem ziemi z twarzą zanurzoną w dłoniach
słyszę jedynie chrobot
sekund w moim sercu –
Nie unosi się żadna fala
nie obradza mowa –
Nie – nie zanosi się na wiersz

– A te strofy –
chyba je ćma w płomieniu opalając skrzydła
węglem na szorstkiej napisała ścianie
i ciągnąc dalej – niepiśmienna:
te usta bez wyrazu
tę jałową noc –
tę pustą przestrzeń do zapomnienia

MOC

Jest – jest moc ukryta
co niewidocznie jak ożywczy wicher
spływa na światy z bezpoczątku –
przenika je i drąży

Kiedy dopadnie martwą w drętym tłumie duszę
wskresza nieżywe myśli z prochu
przywraca czucia
nalewa w żyły kipiące wino –
Z grzmiącym hurgotem zsuwa się z mogiły
skamieniały osad –
spływa kurzawą

I oto wstaje z grobu odrodzony człowiek
w zarannym blasku wiecznego dnia
o m n i p o t e n s –
i już na zawsze w Jego tkliwym Słowie

Bieg ludzkiej myśli porusza światy
wibracja uczuć wzbudza
muzykę nieba –
Po nieobjętość gnieźdzą się skrzydlate oczy
i w błogiej ciszy dopełnia się
w tej samej mierze człowiekiem w Bogu
kosmos i ziemia

PRYZWYCZAJENIE

Po wyprostowaniu drogi
zniwelowaniu wzgórza – wycięciu zarośli
pomiędzy Żabną a Zaskrońcem –
te dwa osiedla wreszcie
patrzą na siebie bez żadnych przeszkód

Znikł uciążliwy stan oczekiwania
i kołatania serc
– urwał się długi wątek plotek i domysłów –
Skńczyły się zakłady
o to co wyjrzy zza zakrętu

Teraz – kiedy szeroko otworzono widok
na n i e s p o d z i a n e między osiedlami
już nie ma nic do odgadnięcia
w polu na przestrzał –
Oczy nie błędzą pośród złudzeń

Tylko z przyzwyczajenia
postarzali młodzieńcy wyteżając swój wzrok
usiłują na próżno dogonić nim
przedwczoraj – które tak prosto
uszło w przeszły czas

POGWARKI O ŚNIEŻNEJ PANI

Julii Hartwig

Jest trakt szeroki
z gorącego południa
długi na przeszło dwa tysiące lat –
przebiegający przez wszystkie klimaty
w nieskończoność

Tym traktem do nas przed wiekami
– jak i gdzie indziej
przybyła Matka Boska z dzieciątkiem w ramionach
aby osiąść na stałe w naszej
północnej krainie

Jakże da sobie radę – mruknął żubr do kruka
tu – gdzie od mrozu pękają drzewa
nieszczęśni błądzą i giną w zawiejach –
kostnieją ręce – a wicher
przenika ściany chat

Nie martw się o Nią żubrze
ale uważnie wpatruj się w czas –
albowiem Ona naraz w wszystkich źródłach świata
odbita zmienną twarzą
wszędzie i zawsze jest tylko jedna

Przy Niej już nie ma czasu – znikły pory roku
i chociaż zwą Ją Ś n i e ż n ą
Jej serce płonie jak poranna zorza –
Tam traktem spieszą trzej królowie do
stajni w Betlejem

Tam dalej biegną do Niej przez pola pasterze
z trzodą muzyką śpiewem – W górze
wciąż na atłasie ciemności świeci
przewodnia gwiazda –
Złote anioły w szarym tłumie

Zegnij kolana żubrze przed świętym obrazem
bo jeśli nie mamy dusz –
to jednak gdyśmy raz tutaj wpuszczeni
leśni i dzicy gdzie Śnieżna Pani –
nasza pokora przy niej na zawsze zostanie

Zegnij kolana żubrze
rzecze stary kruk

DRETWY WZROK

Pogodne niebo w oknie –
Stary człowiek gęsto obrośnięty
zużytym czasem
błąka się po nim obojętnym wzrokiem

Żaden promyk nie dociera doń
przez skamieniałą skorupę przeżyć –
Świat po latach amnezji
obchodzi jakieś przypomniane święto

Głupia farsa
na obcym niestosownym tle:
cień irytacji w drętwym spojrzeniu
przytulna drzemka

– To są sprawy umarłe –
A jednak niespodziewana
smętna piosenka stamtąd – na dzisiaj z młodych ust –
na chwilę kruszy ów kamienny mur

Budzą się z drzemki nieobecne oczy
na trudną ziemię spada łza

OBCA ZIEMIA

Tak-śmy przywarli do ciebie ziemio
że nie czujemy cię więcej niż mały
skrawek
to tu – to tam – pod nieuważnymi
wciąż spieszącymi gdzieś stopami

I wzrok nie sięga poza
ciasny horyzont –
ani cię sercem nie obejmujemy
szerzej niż dom nasz i grobowiec
dalej niż postój w nieznanym miejscu

Najprzenikliwsze myśli ledwie dotknąwszy twej
szorstkiej powierzchni –
jakby odbite od trampoliny
mkną ku gwiazdom – wikłają
w abstrakcji

A ty – przesiewana
na przemian poprzez czułą kolebkę –
zręby mogiły
– wciąż wypadając z sztywnych rozpaczliwych objęć
ciężką kulą z kamienia

zupełnie obca – i nigdy naprawdę
nie przystająca do człowieka –
pochowasz w sobie tylko przenoszone stroje

NEONOWA ULICA

Neonowa ulica
ma znacznie przyśpieszony puls
gorączkuje ziaje –
coraz opuszcza unosi powieki

Jej migotliwe ciało z żelbetu
jest ciepłe suche –
Jedynie łapy zaryte w podziemiach
są chłodne jak kamienne stropy

Przez wirujący kołowrót wnętrza
wciąż się przelewa ludzkie niespokojne mrowie
– skupia się w lustrach witryn
i gra piskliwie na klaksonach
błędnych pojazdów żalobny gospel

Kiedy o brzasku powiew strąca z nieba gwiazdy
neonowa ulica gaśnie
wycisza się – pustoszeje

Zaranny chłód studzi
rozpalone dyszące żelbetowe ciało –
Nieruchomieją otwarte powieki
w zmrużonych oczach wschodzi słońce

gasną neony –
Z ich powidoku jak z kalkomanii
wyłaniają się na dzień
nachalne szyldy śmieci – oklapnięte drzewa

BŁĄDZĄC WZROKIEM

Adrianie Szymańskiej

Bezwietrzna przestrzeń – czyste niebo
błądziłem wzrokiem po tym co najbliższe –
Moje spojrzenie powoływało
do zaistnienia
to – czego nigdy przedtem w tym miejscu nie było
lub tylko domniemane:
białe kolumny – tęczowe fontanny

Nic nie uszło uwadze – mieniły się w oczach
choćby najmniejsze odpryski barw
ukryte dźwięki zdradzała noc –
Nagle wstawały z martwych
od dawna w baśniach zaginione formy

– a nawet jeśli żyły
gdzieś poza moim wyteżonym wzrokiem
cóż mogły ważyć – nie ocucione
łzami zachwytu
ani nie potwierdzone przez pierwotne źródło
skąd wschodzą słońca –
i każda chwila odcień bierze

Jestem tam nadal – patrzę:
słoneczny zegar odlicza godziny
cicho zapada zmierzch
ciemniejają oczy –
Stają się ómy puszczyki gwiazdy

PRIMA APRILIS

Poranek piękny jak płatek róży –
lecz księżę łgarstwa rozgniewany
patrzy ponurym wzrokiem
na nagły upust niewinnego kłamstwa

Złości się księżę – że nikogo
do zawinionych oszustw nakłonić nie może –
Drażni go drwina szczerych obłoków:
T e g o n i e ś c i e r p i ę

Umyka księżę łgarstwa z nieprzekupnej ziemi
i by zachować pozór powagi
lekceważąco oświadcza obłudzie:
Szkoda mojego czasu na takie wygłupy

DIPLOPIA

On patrzy na mnie z obu stron naraz:
z zewnątrz i z mego wnętrza –
Z każdego punktu który nie jest
tym – czym się zdaje być złudzoną zmysłom

I ja Go również widzę dwojako –
jakby na co dzień i od święta
pośród chaosu zjawisk metafor i rzeczy
tych co są we mnie – tych których nie mieszczę

Nazwałem je tak jak się nazywa
to co trwałe i pewne –
a w idealnym założeniu żywe:
Jego przesłanie w niczym – we mnie

Tylko kradnąc czas śmierci
póki On nie położy swej dłoni na światach –
mogę uśmierzyć mój niepokój o to
czemu nadałem puste imię

by zatuszować nim
w tym dwuwidzeniu poprzez mgławicę pozorów
bezkresny obszar mojej niewiedzy
o Nim – o sobie –

A b y z a u f a ć i u w i e r z y ć

ABY ZROZUMIEĆ

Wiele by trzeba doświadczyć
aby zrozumieć
skąd się w kimś stale pochylonym
nad rzeką łez
nagromadziło tyle serdecznego śmiechu –
i skąd te skojarzenia:
płacz – deszcz –
śmierć – kwiaty na obrzeżach wód

RADOŚĆ NIEBA

Nie bez powodu
rozweseli się niebo nad tymi – co
tłukąc głową o mur – znajdą w końcu
wyjście z tego straszego
pełnego grozy położenia –
zakleszczonego jak bolesny klin
między lękiem przed śmiercią – obawą przed życiem

O – nie z byle powodu
cieszy się na tę chwilę niebo –
i wszystkie dzwony niebiańskiego świata
kołyszą się i grzmią:
O c a l e n i –
gdy tylko im się uda wymknąć z okrążenia
podwójnej trwogi

MARZEC JAK PISANKA

Marzec jest jak pisanka
na której
dzisiaj splukane deszczem barwy
jutro zastąpią inne – i choć też nietrwałe
coraz piękniejsze bliżej Wielkanocy

Wszystkie żywioty martwe i żywe
czerpiąc wosk z dopiero co
zbudzonych pasiek –
szkicują nim swe wzory na marcu-pisance
dziecięcą ręką

Zielone niwy pokrywają pola
sypią się kwiaty – błyszczą w słońcu
wierzbowe kotki
– porywczе wiatry marszczą kałuże –
Raz słońce a raz chmura

A jednak choć się na tej marcowej pisance
tak wszystko miota kotłuje przewiewa –
już można wyczuć w tym chaosie
ład i spokój
jak po okrutnej śmierci zmartwychwstanie boże

Czyżby na tobie marcu
ktoś niewidzialną ale biegłą ręką
jak na pisance dziejów zapisał ten właśnie
najbardziej przełomowy fragment
Ewangelii – i spoczął w zaciszu

WIATR I PANNA

Wiatr który przybiegł o poranku
na pusty plac
był ciepły czuły pachnący konwalia –
fikał koziołki skakał przez płoty

Panna która akurat przechodziła tędy
– gdy go spotkała
najpierw udała oburzenie:
Jak śmie – szepnęła – targać mi włosy

zaglądać w oczy
– i ach –
tak najbezcelniej zawijać sukienkę –
i tak zuchwale – jak nikt – wpół mnie obejmować

Ale jej oczy stały się rzewne
– lica spłonęły
ramiona rozpostarły – usta rozchyliły
najponętniej – gdyż zupełnie bezwiednie

Przez chwilę stała niczym róża
przejęta miłym dreszczem –
lecz wkrótce ją zdradziły niedyskretne słowa:
Kocham cię wietrze

I oglądano z jaskółczych balkonów
pannę tańczącą na środku placu
z wiatrem – który łopotał wiosenną zielenią
i zrywał dla niej woń fiołków

OBSESJA

Drzę na myśl – że w te wszystkie rzeczy
które wyszły z rąk ludzkich
jako przydatne i wyspecjalizowane
do czegoś narzędzia –
mógłby jakiś złośliwy czy przekorny demon
tchnąć bezrozumne i nieczułe życie
skore do psot

Już prawie widzę i słyszę
co wyprawiają
dotychczas tak przymilne dziecięce zabawki
co kuchenne zastawy meble –
siekiery piły obcegi szpilki

A przecież to zaledwie
skromna forpoczta – harcownicy
niebываłej potęgi zbrojnej i pancernej
na czele z jądrowymi głowicami
– wyrzutniami rakiet –
operującej bezmyślnie
na lądach wodach i w powietrzu

Drzę na myśl o tym
co by się wtedy stało z ludzkością
z konstruktorami tego przemysłowego sprzętu –
gdyby jakiś zły i przekorny demon
natchnął je samowolnym życiem –
by się spełniło prorocstwo o tych
którzy mieczem wojując od miecza poginą

NAJCENNIJSZA RADOŚĆ

Nie ma cenniejszej radości od tej
której przyczyna nie do odszukania
– niespodziewany dar
niby słoneczny odprysk
jeszcze nieskażonego żadnym doświadczeniem
dzieciństwa – czysta radość życia –
źródła co nagle wytrysnęło z ziemi
pieszczotliwym dreszczem

O – nie analizuj tej chwili
nie płósz jej myślą –
Wstrzymaj oddech i pozwól aby tylko ona
przepelniona tą
samorodną radością
opanowała aż po zmierzch
wschodzący dzień –
Obejm nią całość i szczegóły

widzialnego świata –
Niech pięknieją w jej blasku
najpierw z osobna coraz wyrazistsze
by zlać się rychło w jedną harmonijną pełnię –
w potężne drzewo ociekające
owadźm szumem –
najczystszy brzmieniem wesołego tonu
póki je mocno trzymasz w radosnych ramionach

nie przypisując sobie mocy
ani nie pragnąc niczego więcej

SMUTNA PODRÓŻ

Smutna jest podróż szlakiem wspomnień
– ściganie echa
napotykanie cieni

Nawet gdy coś się wydaje z pozoru
niezmienione – jakaś rzecz miejscowość –
za każdym razem pozór pogłębi ten smutek

I tylko ta banalna
piosenka
o tym że przeszłość niczego nie zwraca

za każdym razem będzie zwieńczeniem
każdej podróży szlakiem wspomnień
choćby się zdało że – do niedaleka –

i choćby jeszcze ponad wczorajszym ogniskiem
wisiał ciepły dym – za późno będzie
aby się pozbyć tego smutku

unoszącego się wraz
z nieokreślonym konturem przeszłości –
i rzeczy byłych

O DUCHU ŚWIĘTYM

Ks. Zdzisławowi Ossowskiemu

Dowolna Ducha droga – lecz
jeśli dostrzeże choćby ślad pokornej siły
w człowieku nocy –
o wtedy niezawodnie zboczy
i wzniesi z iskry pożar

Natchnie prostaczków porywczym słowem
oblecze skromną duszę w świętość
rozpali twórczą pasję w wielbicielach piękna –
i da walczącym ze ślepym żywiołem
oreź prawdy

A tam gdzie zwietrzy krew męczeńską –
choćby nie było fizycznej tortury
włoży na czoła złote korony –
Sobą je natrze i uodporni
na ból i na śmierć

Nic się nie dzieje przypadkiem po obu
stronach istnienia – i kiedy mówią
jakby nie z siebie:
że to Duch zleciał na człowieka –
może się nigdy nie domyśla

że to On zboczył z swej dowolnej drogi
nie bez poważnej przyczyny
– i że to chór anielski przed Nim nieomylnym
który zaczyna dorodne dusze –
po trzykroć pieje: Ś w i ę t y

CZARNY STAW

Minęły lata – oczy powróciły
nad ten staw czarny wokół obrośnięty trzcina
gdzie nic się prawie nie zmieniło –
prócz chłopięcego serca
które do stron tych już nie powróciło

Wybijały brzozy –
odgrodziły listkami grząski muł od szosy
co zamknął w sobie przed półwieczem
ślady bosych stóp –
w mgławych oparach ciepło małych rąk

Jedynie wzrok się przedarł przez gęstwiny
do nieruchomej ciemnej toni –
wniknął pod spód
– dotknął spojrzeniem podwodnych korzeni
zabrnął w żabi skrzek

W czarnym zwierciadle nieruchoma czapla
jak zatrzymany w ptaku czas
– w wianku grażeli –
Wszystko tak samo jak przed laty
prócz serca co powrócić znikąd nie zdążyło

SYN PUŁKU

Podczas każdej wojny
gdziekolwiek by się toczyła –
zawsze można spotkać syna pułku

Będzie jak ten tu – w przedziale pociągu
pędzącego na spotkanie
z nieznanym losem –

opowiadał ze swadą starego wiarusa
przygodnym towarzyszom podróży
o swych licznych przygodach –

Wbity po uszy w żołnierski szynel
wyliczy sztucznie grubym głosem
wszystkie bitwy i fronty –

Rosnąc pod sufit wagonu pychą
nałże o sobie –
ilu pokonał w krwawym boju wrogów

Pobieżnie i bez cienia żalu
wspomni coś o pożarze rodzinnego domu
o gwałtownej śmierci rodziców –

Gdy przemknie świeży grób za oknem
wybuchnie durnym śmiechem –
aby za chwilę naburmuszony

tracąc tupet i ferwor zapaść się w uniform –
dotknięty całkiem dlań niezrozumiałym
głuchym milczeniem przygodnych

towarzyszy podróży –
Tylko rozmigotane koła eszelonu
zastukają ochoczo na szynach

GLEBA

Wielu narodzeń i umierań
trzeba było
abyś pokryła glebo urodzajną warstwą
jałowe skały – nieplodne piaski

I nie mniej czasu zużyto – aby
te szczątki istnień
wymieszać w czarne żyzne podłoże
z nieorganicznym drenazowym pyłem

Dawno zapomniał zwierz i człowiek
po czym dziś stąpa –
Zapomniały rośliny z czego zakwitają
wiosną – owocują jesienią

Stałaś się glebo z upływem wieków
taka zwyczajna jak powietrze woda –
że mało kto dostrzega twoją zgrzebną godność
pod puszystym sukniem zieleni

Tylko wiatr czasem klęka
przy tobie – gdy bez przerwy potajemnie rośniesz
z prochu umarłych na wspólną mogiłę –
i ciągle wzbudzasz nowe życie

jak pieśń na strunach deszczu
– jak koło przemian w promieniach słońca:
glebo – próchnico –
glebo – łanie pszenicy

TREN ROMANTYCZNY

Dzisiaj jedynie
na obrzeżach pamięci
niekiedy jeszcze ujrzę tę twarz niegdyś bliską
wśród niezmiernego tłumu –
na której łatwo mogłem policzyć
choćby najmniejsze poruszenia serca

O jakże mi się zagubiłaś
drogocenna twarzy
migotliwym światełkiem w rwącym nurcie czasu
– I cóż uczynię z łzami
co z uśmiechami które zostawiłaś –
co z zamyśleniem w sklepieniu czoła

Co dnia te skarby
iskrzą w słonecznym pyłe
i zamarzają w gwiazdy wraz z nadejściem nocy
– O brzasku sprawdzam czy nic nie zginęło –
Znajduję blady rumieniec w jutrzence
o zmierzchu tchnienie rozchylonych warg

O zwierciadła bez głębi –
niczego w was nie zachowałem
z mego oblicza
co mógłbym tamtej twarzy podarować
jeśli się kiedyś znowu zbliży –
Puste są moje ręce – serce pełne żalu

LISTOPADOWE SŁOŃCE

Podziwiam je bardziej
od innych – gdyż żadne z nich nie spotyka
tylu przeszkód na swej
drodze: mgieł dymu uporczywych dżdży –
powalonych drzew

Żadnemu wichry tak zaciekle
nie roztrząsają promienistych snopów
– wobec żadnego okna aż tak niegościnnie
drzwi zatrzaśnięte –
ściany nieprzenikliwe

Nawet zimą – w mroźnym uścisku
ścięte na kryształ powietrze nie stawia
równie silnego oporu
złotej gwiazdzie –
swobodnie skrzęcej się w bieli śniegu

To wszystko zresztą mniejsza –
Przede wszystkim chwała ci słońce
listopadowe za to – że chociaż niekiedy –
chociaż na chwilę
przenikasz warstwę jesiennego smutku

i rozkwitasz bladym uśmiechem
w czyichś oczach –
na oszronionym krzewie

OSTATNIE GRZYBOBRANIE

Podczas ostatniego
w mym życiu grzybobrania
nie zbierałem grzybów – a tylko
błądząc bez kosza między drzewami –
i wspominając dawne gry dziecięce
bawiłem się z nimi
w chowanego

Te dzieci lasu jak mało kto
znały przebiegłe reguły
starożytnej igraszki: –
sztukę mimikry i ukrywania się
przed szperającym wnikliwie wzrokiem

Las cichy o tej porze po powtórny lęgu
ptaków –
pełen sekretnych schowków w gęstwinie
mamideł światłocienia –
był nam zarazem świadkiem i rozjemcą
z wiewiórczą kitą i obłokiem
na konarach

Było wesoło –
Zielonki chytrze kryły się pod ziemią
borowiki za pniami – rydze w mchu
twardzioszki w trawie –
Czerwone muchomory zdobiąc w białe kropki
swe kapelusze – udawały
boże krówki

Najdziwniejsza rzecz: wytropione grzyby
patrzyły na mnie bez obawy
jak niby-jeńcy –
rozbawione tak – jakby dokładnie wiedziały
że to nie grzybobranie
ale zabawa

Pocziwe słońce pomiędzy nami
na leśnej ścieżce położyło
światlistą plamę – jasny znak przymierza

CIAŁO RUIN

Tak wiele z tych zwałonych obróconych w glinę
ruin –
ledwo porosłych siwym podbiałem
unosilo się jeszcze warstwą
daremnych modlitw klątw okrzyków trwogi
przedśmiertnych rzeżeń jęków szlochań –
skrzepłej grozy

Ta glina była jak żywe ciało
ogromne – na wskroś przepojone bólem
niepogodzone z losem – pełne
trupów –
miotających się nadal po gwałtownej śmierci
w bezwiednym odruchu konania –
opłakane deszczem

Wschodzi ponad nim nowy dzień
słońce powleka je złotą patyną –
i tłum wyległy z zatęchłych nor
wydeptuje na nim
prowizoryczne ścieżki – podobne do rdzawych
pręg na nieżywej skórze
(Nieodczuwalnie obraca się ziemia)

Tak właśnie życie po wielkich klęskach
dobija rannych –
tak na skraju pamięci grzebie
cichy pomruk umarłych
– Dopiero gdy wzburzony czas się uspokoi
nowe osiedla przygarną cmentarze –
przytulą uszy – Usłyszą

WŁASNY WKŁAD

Z tego co kiedyś miałem za swoje
tylko znikoma część jest moja –
Cała ludzkość złożyła się
na każdą z myśli w pojedynczej głowie

Jestem odległym echem pradawnych pokoleń
– ich żurawiego krzyku tęsknoty
za źródłem rzeczy –
Szmeru ich stóp wydeptujących

na dzikiej ziemi człowiecze drogi –
Bezwiednie przywłaszczyłem sobie
doświadczenie ogółu –
słowo którym wyrażano wspólnie

podziw zdziwienie radość i trwogę –
Wraz z tłumem moich przodków i mych rówieśników
celebruję jak kropla w morzu
majestatycznie rozkołysany

ruch odwiecznego żywiołu
– choć nawet ów
najbardziej intymny szept – co jak błyskawica
rozbrzmiewa w mrocznych zakamarkach

mojej jaźni
nie jest monologiem między mną a mną –
Cóż jest więc moim udziałem –
Kiedy się nad tym zastanawiam

czuję płomyk
trzepocący niepewnie w porywistym wietrze –
i bez znaczenia jest moja obawa
że byle podmuch może go zgasić

MÓWIĄC OJCZE

Księdzu Stanisławowi Dzyrowi

Nawet bezkresna wieczność nie wyczerpie
ani do końca nie objaśni
zdumienia dusz
rozważających twoją niepojętą łaskę
Panie –
i nie obejmie ich upojenia

Nigdy ludzkiemu słowu
nie uda się wyrazić twej wielkoduszności
mocą której nas – nieznaczące pyły
wyróżniłeś – i wolno nam
wpierw osieroconym –
zwać Cię Ojcem

Napawać się do woli – nigdy nie pojmując
miłosną treścią tego wyrazu –
który po nieskończoność
wionie spokojem
– W którym się jawisz w swojej potrójnej Osobie
i schodzisz do nas Bratem z krzyża –

dyskretnym Powiernikiem naszych wyznań
w spowiedziach – cienisty jak nieprzenikliwa noc
w chwili konania –
widny jak pełen światła dzień
po drugiej stronie wszechistnienia
t w a r z ą w t w a r z

KLAWIATURA

Patrząc pobieżnie na sumę przeżyć
szepnie o swoim życiu człowiek:
Krótkie – bezdźwięczne

Lecz kiedy przemknie po jego detalach
naraz – jakby po klawiaturze czułym
pociągnięciem ręki

wykrzyknie: Długo trwało – i choć
stłumione czasem wciąż jeszcze dźwięczy –
A gdy z osobna dotknie każdego klawisza

bacznym spojrzeniem –
jakby wstecz schodził kakofonią tonów:
to roześmieje się – to westchnie

KŁAMSTWO ZIEMI

Okłamałyście mnie wszystkie mury świata
wszystkie ruiny – zgliszcza –
zasięki z krwawym strzępem ciała
doły rozpaczy –
i wy – prastare drzewa powalone wichrem

Okłamałyście mnie
wmawiając mi swym głuchym milczeniem
żeście upadłe – na zawsze zamknęły
zabłąkanym
powrotną drogę do dzieciństwa

Wielu wam uwierzyło
spoczęło przy was –
i nasiąkając waszą trumienną zgnilizną
biernie poddało się rozkładowi
wpijając wzrok zmętniały w truchło

Zaledwie kilku
oparło się waszemu zgubnemu wpływowi
– i oto ja – który już prawie
uległem wam –
dzisiaj spoglądam na nich z wysoka

Są jak bez troskie niedościgłe ptaki
które nie dbając o to kto je uratował
od kłamstwa ziemi –
mimo to podążają za mną
we właściwym kierunku

SUGESTIA

Nagle na kogoś spada
niewidzialna sieć
z zaledwie na supelkach połyskliwej przędzy

Sugestia czyichś oczu głosu –
lecz czymże jest sugestia

Tylko ktoś czyjeś serce przedziwnie omotał
uwięził je na moment –
by mu za chwilę upust żądz otworzyć

Ach to tylko sugestia czyichś oczu głosu –
lecz czymże jest sugestia

jeśli tak trudno do niej zwykły
szary dzień przyłożyć
tak – by z magicznej skrycie połyskliwej przędzy

na całe życie pozostała
choćby jedna nić na pocałunek

ZAGINIENI

W tym miejscu nie do odnalezienia
zakopany pośpiesznie
w pustynię
przez wiatr wiejący ze słonecznej próżni
by nikt nie wyczuł jego zgonu –
zegar nie stanął na ciemnej godzinie

Albo tam – gdzieś
w krótkotrwałym momencie nie do ustalenia
połknięty przez wodospad
tak cicho – aby nikt z oddali
nie schwytał jego ostatniego tchnienia –
wierny pies nie zawył

Albo i tutaj –
uwikłany w korzenie
anonimowego drzewa – w puszczy
by nikt nie odgadł kiedy dusza uleciała
w niebo – przez żaden proroczy sen
nie objawiona

O tak ukrytych nikt się nie odważy
powiedzieć: Umarli –
Raczej ktoś mruknie: Chyba widziałem
ich – gdzieś przelotnie –
I ktoś wymieni ich w raporcie
krótko: Zaginieni

DO MISTRZA

Twa prawda Mistrzu –
że tak się przez cierpienie z serc odcedza miłość
jak czerpakami z potoku złoto

A kiedy padnie na czyjeś oblicze
rozjaśni je i udobrucha –
a gdy na usta – błysną uśmiechem

dźwiękną pacierzem –
A gdy na oczy – rozpostrą się niebem
tak lekko że kolana zmiękną

ugnie się cała postać – i cała uklęknie
we łzach –
jak z deszczu pod rynną

PRZY FIGURCE N. B.

Ledwo o dwa stulecia
postarzała się – odmłodziła ziemia –
lecz to starczyło aby o tobie zapomniał
nowożytny świat

Tylko poeta gdy go uderzy
owa niepamięć
szuka przyczyny – składa wiersz

Szuka cię po muzeach ogląda pomniki
wertuje stare księgi –
i tak dosięga twojej pychy
wcielonej w miecz

Kojarzy mu się z tobą
nietrwąła gloria mniszku – srebrzysty puch –
i dziejów wiatr

Wtedy zrozumie wszystko – bezwiednie zapisze:
głuche milczenie następnych epok
ułomność miecza w wzbudzonym pożarze –
w potoku krwi i łez

O mogłeś przecież imperatorze
porwać te rzesze i utrwalić
w lepszym zamiarze –

I znowu się kojarzy poecie z tematem
mniszek – ulotna aureola –
Mylisz się – szepce doń badyle:
On choćby pragnął inaczej by nie mógł

A to jest tajemnica dobrej i złej woli
i nadrzędnego celu –
jak błyskawica w wybranym człowieku

I na tym dość –
nic więcej nie ma do opisanania

ZARADNY SEN

Czasem to właśnie sen
w mrocznych ustroniach nocy rozwiązuje za nas
nasze najbardziej zawikłane
dzienne sprawy

zapala światło rozprasza ciemności
robi porządki – i układa
co było w nieładzie –
Odkurza i przypomina

pamięci
odległe zdarzenia – w których tkwi
przyczyna naszego
minorowego nastroju

Bez trudu penetruje zatęchłe pokłady
podświadomości
i przewietrza je konwaliowym sprejem –
Wówczas budzimy się

z pogodnym uśmiechem na twarzy
– i jeszcze mocno czując
olśniewający zapach konwaliowych kwiatów
śmiało wkraczamy w chłodny pochmurny dzień

śniąc dalej na jawie
dalszy – prostoliniorny ciąg życia

POGODA NA DZIŚ

Gdy ustępuje niepogoda
przeźrocyste pajęczki przestrzeni
natychmiast zaczynają tkąć –
na jeszcze nieobeschłym tle jej ariergardy
tęczowe pasmo
ze słonecznego kłębaka bieli

Ciche niebiosy – wstrzymane wiatry
nieporuszone drzewa –
Nikt nie odejmie z tęczy ani jednej barwy
dopóki ziemia ich nie przyswoi
aż po najbardziej nikły odcień –
wzrok nie przypomni

Kto bowiem widzi – widzi
że tej pełni kolorów dokąd będzie trzeba
uważnie strzegą złotoskrzydłe
anioły pogody
w swych powłóczystych szatach z od-blasku –
albowiem z dawna odmierzone ziemi
czas trwania słoty i czas rozpogodzeń

A tu – właśnie na dziś –
i aż do odwołania: pogoda – pogoda

STARYM MAŁŻONKOM

Teresie Ferenc

Oddani sobie przed laty ludzie
nigdy jeszcze nie byli
tak blisko siebie –
ani tak piękni jak w duchowym związku

teraz – gdy ich doczesna droga
kończy się –
a oni już za chwilę przejdą z życia w **ż y c i e**
przez śmierć zrodzoną z cielesnej trwogi

Dobra miłości –
która pozwalasz starym małżonkom
co dnia na nowo odnajdywać siebie
w pełnej urodzie młodych lat

– docierać do niej przez starczy węd
zmarszczki i odleżyny – ułomność postaci
zgaszone oczy – przytłumiony głos –
utracony wdzięk

Starczy wzrok głębiej sięga –
i dzięki tobie promienna miłości
pozwala coraz lepiej przez zużyte ciała
dostrzegać w dwojgu czułą jedność

WIERSZ DLA TRZECH:

Mariana Rejewskiego
Jerzego Różyckiego
Henryka Zygalskiego

Przycichła bohaterska legenda
Westerplatte – tylko niekiedy
oznajmia się od święta przytłumionym echem:
„Broni się jeszcze” –
rozbłyśka chwałą w strofach Ildefonsa

Dano nam w zamian trzech
których się nie da w mity złożyć –
gdyż dzięki prawdzie rosnać z każdym wiekiem będą
pomimo przemilczenia
– E n i g m a –

czarna nieduża – na pierwszy rzut oka
zwykła maszyna do pisania
naprzeciw zbrojnych – krwawiących w walce
na śmierć i życie bez pardonu frontów –
a tak naprawdę bastion wojujących myśli

w tej wojnie na pół sprawiedliwej
może decydujący:
– E n i g m a –
Czy trzeba coś dodawać – wymieniać imiona
stroić pomarłych liśćmi wawrzynu

– tych wygnanych z pamięci
obronionego przez nich świata –
tych trzech naszych – którzy – gdy im skradziono
zasłużoną sławę
spoczęli w Bogu i w Jego Prawdzie

jezcze nie całkiem przywróceni
odzyskanej ojczyźnie

STOKI

Znowu się ciągną pod powieką
stoki bezbronnych bieda-miasteczek –
liście łopianu

Błade słońce wciąż zsuwa się z ich
oślizgłej pochyłości – wciąż spychane
przez od-chmurny półmrok

Gdzieniegdzie fragmenty płotów –
deski niczym wisielcy
tańczące z wiatrem pijany taniec

Dalej od słońca w drobnej mżawce
kapuściane głowy
łyse – zalatujące rzodkwianym odorem

Na pędrakowym oślizgłym zagonie
aż po kolczasty drut – stadko
zdechłych kur z rybiokim kogutem na czele

W pośrodku górnej krawędzi stoku
półprzeważony nad nią tyłem
wychodek

Z powyżej niej dochodzą
niemrawe głosy –
z poniżej ciężko dźwiga się ku niebu

kurz ze spieczonej słońcem drogi –
i z tej – grząskiej od potu
nigdy nie oznaczanej na pstrych mapach świata

chyłkiem wiodącej przez splendor pałaców –
wyniosłość świątyń – bezbronne stoki
do osiedli nędzarzy

PACIERZ ZABŁĄKANYCH

Wszystko co poza Tobą Panie
jest bezdenną otchłanią bez sensu i celu –
Jeśli Cię porzucimy
runą zwietrzałe krawędzie świata
w ziejącą pustkę –
i każdy ujrzy własny Armagedon
wpierw – nim spadnie w przepaść

Po nieskończoność utkwii w przerażonym wzroku
ten obraz pełen grozy –
rozwijający się w beczasie
bez spełnienia – w nicość

Nie daj nam Panie ominąć Ciebie
zgubić się w drodze –
a jeśli nawet tak się stanie
wyślij na pomoc jeden promyk twego blasku –
Przywróć zbłąkanym bezbłądny kierunek
nim naszą trwogę zgładzisz swą łaską

Utwierdź na moment przed zmyloną stopą
zwietrzałą krawędź kosmosu –
i zaślep jasnym światłem betlejemskiej gwiazdy
tę straszną czeluść samozatracenia
– Prosimy Ciebie –
mdłe ptaki w twojej miłosiernej dłoni

PAMIĘCI JAROSLAVA SEIFERTA

Spośród poetów
mojego czasu i miejsca na ziemi
najbliższym memu sercu jesteś Ty –
chwilowo nieobecny
mistrzu – Jaroslavie Seifercie

W twoich wierszach spotkałem pokrewną mi duszę
choć Ty sam w nią powątpiewałeś –
Lecz ją dostrzegam ją wyraźnie:
jest motylem unoszącym się ponad
kwieciami twych słów

Stałeś mi się najbliższy
po przeminięciu szalejących w Tobie
burz – wygaśnięciu cierpienia
uśmierzeniu buntu –
gdy zrozumiałeś bezsens walki z wiatrakami

Ujrzałem wtedy twą mądrość w wersach
w uroczym szacie obok piękna –
Twoje oczy nad strofami pochylają się jak
ośnzione słońcem niebo
po pochmurnym dniu

Urzeka mnie w nich twoja odważna męskość
co ukochała świat ten – i pomimo to
spokojnie czeka na śmierć –
zarówno pogodzona z nią – jak i
z pełnym przeciwieństwem krajobrazem

Czując ten mocny węzeł między nami
mówię Ci stąd – gdzie wczoraj byłeś:
Do widzenia
mistrzu Jaroslavie –
Obaj umiłowaliśmy tę uprzykrzoną ziemię

ZA MAŁO

Za mało było tysiącleci
na doskonałą konstrukcję człowieka –
skoro wciąż jeszcze zdarza się
że jego gładkie wypielegnowane ciało
pokrywa szorstka zwierzęca sierść –
a z jego wątlej krtani tak łatwo

wydobywa się gniewny ryk pradawnej bestii
– Za skąpo było torfu – prochu kości
na jego podświadomość – z której
pustynnej i bagiennej nadal się unoszą
nieczytelne mgławice

– A on – dzisiejszy
czując kosmate ramię przy boku
budzi się ze snu z przeraźliwym krzykiem –
i kruszy się jak mumia dobytą z ciemności
na wiatr i słońce
póki nie skryje się w niepamięć

ze wstydu – gdyż tylko tak
może pochować przed sobą i światem
tę nagą prawdę – że w nim pod gruzem
epok – ciągle buszuje
nieposkromiony przeszłym czasem
pierwotny człowiek

Z ANAMNEZY MELANCHOLIKA

Melancholia gościła u mnie
trzy razy – Była jak próbna przedwczesna
noc umarłych –
pełna poczucia winy za niepopelnione
grzechy

Gwoli sprawiedliwości – bez cienia urazy
podaję tylko że zdrowi widząc
me silne ciało –
nieraz mnie mieli za nieroba
symulanta ladaco

Nie dziwię się im – gdyż ta noc koszmarna
bez możliwości wyjścia na światło
była zupełnie niedostępna
dla ich oczu:
nie zdradzały jej lękiem zaciśnięte wargi –
Miano mi za złe apatię ponurość –
zarzucano brak serca – egoizm
– Było w tym coś z reakcji
otoczenia – na przemianę w chrząszcza
z noweli Kafki

Co tam – było minęło –
i chyba lepiej panie doktorze
nad tamtym stanem mego ducha
dłużej się nie rozwodzić
teraz – kiedy powrócił apetyt na życie

TYLKO TA

Tylko ta – która do pocałunku
wpierw podawała usta chłodne jak z marmuru
– i dopiero stopniowo
grzejąc je
od serdecznego żaru serca –
poczynając zaledwie od ciepłoty płatka
jaśminu – by sięgnąć w końcu po
szkarłatny ogień róży –
tak – by wschodzącej miłości nie zranić
– tylko ta jedna umiała kochać
zarazem równie troskliwie jak matka
i czule jak kochanka – wciąż przezornie wążąc
na swych ponętnych nabrzmiąłych wargach
zarówno żądzę i nieśmiałość

WTEDY IDŹ –

Ktoś w kim szaleje pełna napięć burza
nie powinien dotykać dookolnych rzeczy –
Raz dotknął – i roztopiły się
w blasku jego błyskawic –
Raz dotknął – rozsypały się pyłem

Nie powinien wychodzić do ogrodu:
raz wyszedł – i wszystkie kwiaty
zerwane brutalnie –
uleciały wraz z rozpętanym w nim
wichrem

Ktoś w kim zapanowała skrajna oschłość
nie ma racji bytu na ziemi –
albowiem łąki niwy i wiosenne lasy
schną od jego oddechu –
nagim dnem świecą morza i rzeki

Nie – nie wychodźcie w miasto przeniknięci mrozem
jeśli zostało w was jeszcze tyle
żywego czucia
aby przewidzieć – że od was zsiniałych
zamarznie w żyłach krwiobieg

A wy – na wszystko obojętni
nie przypatrujcie się swym martwym wzrokiem światu –
Jeśli naprawdę jest wam wszystko jedno
po co mu macie odbierać
barwy i dźwięki

Ach człowieku –
przecież ci wszystko będzie wolno
jeśli odzyskasz niewinność dziecka –
pozyskasz spokój starca – Wtedy idźże sobie
gdzie chcesz – bezpieczny

OGNISKO

Każde ognisko ma liczne głowy
jak legendarne smoki –
na których skwierczą przypalone w żarze
kędzierzawe włosy

Pośród płomieni migocą zmienne
oczy i twarze
o nieuchwytej barwie znikliwym wyrazie –
młode przez moment – nagle postarzałe

Spójrz – jak je targa o wieczorze
swawolny wiatr –
jak je uwodzi – sypiąc iskrami
nie wiadomo gdzie

Tańczą małe dzieciątka
trzęsą się siwe brody z popiołu –
Północ usypia ognistego smoka
poranek zbiera czarne kości

Widny dzień depce
na wypalonym martwym skrawku pola
blade zarodki płomieni –
Następny wieczór zaprosza w trawie

nową skrę – Następna noc rozpala
nowe stare ognisko

DZIWNY CHŁOPIEC

W kilka lat po wojnie
jako młody medyk troszczyłem się
o zdrowie sierot z domu dziecka
przebywających w wyludnionej wiosce
na kolonii

Był piękny sierpień pełen owoców
w lasach jak i w ogrodach
– Nikt nie chorował –
Z potencjalnych małych pacjentów
odwiedzał mnie tylko – ale bynajmniej nie

z powodu choroby – wielkooki Krzyś
Miał sześć lat i był ulubieńcem
opiekunów – choć wszyscy przyznawali
zgodnie: Trochę dziwny –
jakby dorosły ponad swój wiek

Zapamiętałem dobrze jego trzy wizyty
o których do dziś nie wiem co sądzić –
Podczas pierwszej nazwał mnie mądrym
a moją uwagę – że
wielu jest ludzi mądrzejszych ode mnie

zbył słowem: Nieprawda –
Podczas drugich odwiedzin nazwał mnie
dobrym – i znowu moje wątpliwości
przygwoździł słowem: Nieprawda
tuląc się do mnie

Za trzecim razem szepnął: Pan smutny –
a kiedy żywo zaprzeczyłem
ze łzami w oczach wyznał:
Bardzo mi pana szkoda – i pocieszająco
swą małą dłonią musnął mój policzek

Spotkałem go po dwudziestu latach
w szpitalu dla psychicznie chorych –
Był w głębokim
schizofrenicznym stuporze
niczym kamienny sfinks lub skamieniała Pytia

Nigdy nie dowiedziałem się od niego
czy odwiedzając mnie tam – kiedyś –
i patrząc na mnie swym wielkookim
dziecięcym wzrokiem
poprzez mnie przewidywał swój niefortunny los

KOŃ I GIEZ

Rozgniewał się koń na końskiego bąka:
Niech tylko cię dostanę – pogroził –
zmiażdżę kopytem

Za mały jestem – pisnął
przeżony giez
na tak surową karę za drobne ukłucie

A ja za wielki – prychnął koń
na zniewagę
od kogoś jak ty – ledwo widocznego

Cóż jestem winny – zachlipiał bąk
że mi natura dała
na pokarm tylko końską krew

Udobruchał się koń:
Nie tyś zawinił lecz wyższa siła –
mnie również skąpo wydzielono

Opuścił bąka – zarżał z oddali:
Ucz się pić wodę –
stulając uszy na rozpaczliwy krzyk:

Bez twojej krwi
do rana padnę z głodu –
Morału nie ma

TO NIE JEST WYJŚCIE

Nie godzi się pytać Boga – cierpiąc:
Za jakie winy –
W podtekście tego pytania
jest zazwyczaj ukryty niedorzeczny zarzut –
lekkomyślna obrona

Ludzkie sumienie zna odpowiedź
– i to ono jest
właściwym adresatem podobnych zapytań
stawianych nazbyt często
(Hiob by się nigdy nie ośmielił –)

Wszak cierpienie przyjęte z pokorą jest łaską:
pozwól mu spłynąć potokiem łez
spłonąć w płomieniu żarliwej wiary
– Niezgoda na nie
łatwo znajduje wisielczy sznur –

Ale to nie jest wyjście – ból nadal trwa
nieograniczony czasem
– To nie jest wyjście godne człowieka
choć przecież nieraz o krok od świętości –
o d p o w i e d z i

O nazbyt często tuż obok
hiobowego triumfu
rozlega się po trzykroć: Biada

ŻYWA ZIELEŃ

Zawsze kochałem żywą zielen
więc może nie ma w tym nic dziwnego
że również teraz (w zimie) przyszła – aby
odwiedzić mnie i pocieszyć

Zewsząd gromadzą się gałązki
mnożą się młode pędy –
Przenikają do wzroku i do świadomości
przez opuszczone pokrywy powiek

Coraz to nowe odcienie zieleni
wybuchły pąkami
wprost z podłoża – i natychmiast
rozwinęły się wokół mnie liśćmi

o różnym kształcie i wielkości:
drobne olbrzymie dłoniaste strzeliste –
lecz bez różnicy – wszystkie tak samo
wiosenne i przyjazne

Jak ufne dziecko wyciągnąłem
do nich ręce –
a one delikatnie pogłaskały
moją twarz i oczy

Był to jak gdyby uroczy sen – lecz
bardziej niż jawa rzeczywisty
który mi nigdy nie wywietrzył z głowy –
Wystarczy tylko lekko przymknąć – znużone dniem

powieki – a one znów
splecione we mnie ze światłowieniem
pną się girlandą żywej soczystej zieleni
coraz to wyżej

Doprawdy – wystarczy tylko lekko
przymknąć powieki

BRZEMIENNE

Słodkie jest zamyślenie
kobiet w błogosławionym stanie –
Nawet nieładne przedziwnie pięknieją
pochylone nad kopułą swego
łona –
zasłuchane w zgodny szmer podwójnego tętna

Brzmi jak weselne dzwony
o wschodzie słońca –
a one wszystkie coraz podobnieją
do madonn Rafaela i do matki ziemi
na tle czystego błękitu nieba
w połyskujących strugach wiatru

Odwieczna poza – odwieczna zaduma
która nie ginie w czasie choć znikają ciała –
Iskry we włosach – czułość spojrzenia
przytulność ramion –
ociężałość postaci

Po tobie moja matko również pozostały
tylko te znaki w bezkresnej przestrzeni –
i ślad tej chwili najcichszej wśród burz
w której mnie wymarzyłaś
z miłości duszą – kruchym ciałem
na lepszą przyszłość

A że się sny twe nie całkiem spełniły
kogo za to winić

RADA NA DROGĘ DO –

Aby bezpiecznie przejść z starego w nowe
trzeba mieć z sobą coś trwałego –
coś jak diament i złoto – i jak zawsze
niezbędny życiu tlen

Coś – co ze sobą przyjaźnie spaja
wszystkie epoki jak trud i pieśń –
i zieleń drzew –
przejrzysty krwiobieg wody

Nic się nie stanie złego prawdziwej miłości
na drodze do nowego
jeżeli nawet ślepa – szalona
potknie się o coś

I nic – gdy upojona sobą zbłądzi
straci poczucie czasu i miejsca –
wstyd i rozsądek
– Nic nie zaszkodzi jej – płonącej

Czyż można zgasić – ot tak sobie
poranne słońce
lub skazić kroplą goryczy wodospad –
skrępować wiatr

A przecież każda prawdziwa miłość
to słońce i wiatr i wodospad –
i tylko z nią się uda bezpiecznie przekroczyć
granice między starym a nowym

SUKCES ANIOŁÓW

W dniu dwunastego października
tysiąc dziewięćset
trzydziestego dziewiątego roku –
dobrze spisały się anioły stróże

Jeden ocalił chłopców – którzy
majstrowali przy
artyleryjskich niewypałach
na sypkich wydmach Bródna

Drugi przed egzekucją uratował starca
gdy uniesiony gniewem i rozpaczą
po zabitej przez bomby żonie –
plunął esesmanowi w twarz

Trzeci ściągnął z bariery
mostu Kierbedzia młodą dziewczynę –
której wydało się że nie ma już po co żyć
po stracie w wojnie żołnierza-kochanka

Wszyscy aniołowie
byli jak jeden człowiek z zakrytym obliczem –
Wszyscy trzej natychmiast po
wykonaniu powierzonych im zadań

zniknęli nie wiadomo gdzie –
Może w znękanym tłumie przechodniów
albo w obłokach
jakby umyślnie – by ich nikt nie poznał

DO SUMIENIA

Wcale nie ma pewności z czego trzeba będzie
więcej się wypowiadać:
z bezruchu czy z poruszenia
z nieobecności czy z wszędobylstwa
z ingerencji czy z zaniechania
z podjęcia czy nie podjęcia zadania
z odwagi czy z tchórzostwa – a nawet
z jawy czy ze snu –

O – wypada się nad tym głębiej zastanowić
bo może jednak przy wyznawaniu
swych grzechów jesteśmy
zbyt jednostronni –
i choć to nie jest winą – niechcący nieszczerzy

Bądź uważne sumienie – bowiem
nie zawsze i nie wszystko – co ludzkie
zawiera się wyłącznie w czynnej
formule przeżyć

ODWIEDZINY WE ŚNIE

Dzisiejszej nocy – we śnie
odwiedziła mnie moja zmarła
przed kilkunastoma laty kuzynka
w towarzystwie swego –
również od dawna
nieżyjącego męża

Chociaż odeszli w podeszłym wieku
powitali mnie w swych młodzieńczych
cielesnych strojach
rozpromienieni w blasku uśmiechów –
jak nigdy żywi piękni – namaszczeni
odświętną radością

Szczebiocząc niczym rajskie zakochane ptaki
zasypali mnie gradem
nowin i pytań –
starając się wypełnić nimi
długą nieobecność –
związać zerwaną łączącą nas niegdyś

serdeczną nić –
Sen mój pojaśniał od ich uśmiechów
gdy wtem – gdy prawie nic już
nas nie dzieliło
ktoś jak żelazną pięścią – a jak powiew cicho
stukając do drzwi niechcący mnie zbudził

POGRZEB „COSIA”

Zanim to „coś” przykryją ziemią
słoneczny promień już wie
drzewo rozumie –
omszały kamień pojmuje głucho
że to nie ciało grzebią w grobie

Promień odpowie: Tylko płachtę cienia
drzewo oznajmi: Pył znużenia –
głaz szepnie: Żywy ruch
– Nieco swobodniej odetchnie ziemia
lżejsza o jeden znikomy ból

A po żałobie – oplakaniu siebie –
również ludzie
tak jak natura – nigdy już
nie doszukają się pod darnią
więcej niż ona

Za każdym razem gdy ich ogarnie
fala czulej tęsknoty –
będą rozglądać się coraz uważniej
po niebie za
obecnością duszy

ALEGORIA

Na urwistym brzegu
wysoko nad wzburzoną głębią oceanu
stał młodzieniec spragniony
kąpieli – W dole spienione fale
z ponurym rykiem tłukły o głazy

A on był zbyt znużony – obarczony sobą
by zejść do bardziej przystępnego brzegu –
Tylko skoczyć
– Już mocno zacisnął szczęki
naprężył łydki – pochylił tułów –

I właśnie wtedy
spłynął weń zewsząd rozważny szept:
Po co narażać życie dla kąpieli
jeśli już dawno cię ogarnąłem –
wpłynąłem w ciebie całym sobą
i w sobie utopiłem

Usłuchał głosu młody – wyciągnął ramiona
podobne do płetw i do skrzydeł
– i choć się więcej już nie poruszył
wciąż gdzieś na przemian
w tym głosie zewsząd – to leciał to płynął

W SPRAWIE PŁCI

Choć rzecz jest oczywista
ciągle się toczy niemądry spór
o podobieństwa i różnice między
płciami –
Rzadko się zdarza by ktoś rozsądniej powiedział

że to Bóg wstrzymał człowieka w locie
gdy jeszcze w łonie matki
rajską przeszłość śnił –
i uformował z niego po połowie
dziecko i męża – i scalił

I po namyśle dał temu czemuś
na imię Ewa – O łatwo mu poszło:
odłupał skałę
nappełnił serce tkliwych uczuć gamą
i rzekł: Uwiedz świat – niewiasto

WOJNA O ŚPIEW

W „ornitologicznej” epoce
mojego życia
gniewałem się na ptaki o to – że
nie chciały przy mnie śpiewać

G ł u p i e g ł u p i e – wołałem za nimi
powracając do domu
zaledwie z fragmentami ich pieśni na taśmie
mg – zniekształconymi gwarem świata

Głupie głupie – powtarzał las echem
moje wyzwiska –
sprawiedliwie zwracając je
przeciwko mnie

Nie pomogły zasadzki – przemyślne podchody
– a przecież kochałem tych pieśniarzy nie mniej
od króla Władysława Jagiełły –
od dębu czy strumyka

Jednak ubiegłej nocy – może za to
że dokarmiłem głodne zimą –
urządziły mi galowy koncert
we śnie

Cóż z tego – gdy po obudzeniu
znów wojna na wyzwiska:
G ł u p i e g ł u p i e – natychmiast echem obrócone
przez sprawiedliwy las w moim kierunku

TYLKO TYLE – ŻE

Gdzie był biblijny raj –
To przecież była ta sama ziemia
co dziś – a tylko trochę bliżej Niego
czarowniejsza

I były na niej tak jak teraz:
łądy i morza – góry i niziny
życie i nie-życie –
a tylko bliżej Mocy bardziej cudowniejsze

Była też para ludzi
zupełnie taka jak obecnie:
mąż i niewiasta –
a tylko bardziej w Nim – nieśmiertelna

Wszystko co opisano zdarzyło się tutaj –
w dzisiaj:
pokusa grzech i kara – tyle tylko
że w Jego gniewie o śmierć straszniejsze

Wszystko było tak samo
z wyjątkiem tego – że z chwilą gdy
duchowy człowiek oblókł skórę zwierza
On już w swym Słowie miał plan zbawienia

W INNYM ŚWIECIE

Ów całkiem inny świat
powstał niespodziewanie między snem a jawą –
To co opowiadały baśni
nagle przyjęło rzeczywisty kształt –
to co dotychczas wypełniało jawę
nagle zmienione w baśń

Ktoś unieważnił dawny podział doby
na dzień i na noc –
Cała doba jest wieszczącym brzaskiem –
Pytią – która z wahaniem zapowiada dziwy
nieznane dotąd – wzbudzające
za jednym razem ciekawość i strach

Zaczarowany Gucio to ja
– Ciotka w żałobie po śmieci kota
w tym innym świecie jawi się jak wróżka –
W jedno splatają się greckie mity
z baśniami Andersena – z ołowianą armią
kwiatem paproci

Gorący płomień w mej dłoni więdnie
niczym spragniona rosy róża
toporna skała włada językami –
Mieszają się postaci z klasycznych powieści
ze współczesnymi –
i pomiot smoka bawi się ziemią jak piłką

O – są i ptaki Arystofanesa
grające ludzkie śmieszne i poważne role –
i ja – pośród nich niczym
tragiczny owad Franza Kafki
czujący wzrok ich na sobie – i w nim
groźne zamiary

Tło wszystko tłumi tak – że czując ranę
patrzac na strzępy mej wątroby –
mojego serca – nie wiem
czy jestem jeszcze w żywym – czy już w martwym ciele –
Ktoś bliski woła: Zbudź się
ktoś obcy i daleki: Śnij dalej

A ja wciąż nie wiem – czyj głos
w tym innym świecie – w innym mnie
przeważy

MARYNIE CWIETAJEWEJ
(gdziekolwiek jest lub nie jest)

Taka wrażliwa
przyciągająca zewsząd piękno –
Taka ufna
przepelniona bezbronną
miłością

Cóż dziwnego że prędko porażona światem
zwiędła –
z każdym dniem bardziej nieżyczliwa
dla Boga świata siebie i ludzi –
z resztek miłości w sercu – nienawistna

Co uczynić z sobą
nieczułą z udręczenia –
w której tkwi jeszcze tamta – tkliwa
z wciąż niewygasłym popiołem wspomnień –
w domu bezdomną

O nie dziwne że z bólu stłumionego burza
– a ona bardziej szalona od burzy
cicha jak grób –
nagle wyrywa piorun chmurze
i przesywa nim serce

Już się nie dowie
że właśnie w tej gwałtownej chwili
jej niespokojne tkliwe pełne buntu wiersze
zaczęły wyć – i że ten podły świat
chcąc nie chcąc je usłyszał

ZDROWE ZMĘCZENIE

Zdrowe zmęczenie
nie sprowadza niemocy
na ziemi –
tylko troskliwie układa na niej
ciało na krótki odpoczynek

Natomiast poza nią
urzeczywistnia najwspanialsze sny
o wiecznej duszy –
o nigdy nie nużącym wiecznym trudzie
tak bardzo przypominającym

dziecięcą zabawę
w motyle i anioły –
Pot jest jak kropla święconej wody
i jak żywica z drzewa życia –
wiatr chrzciciel

Jest to zdrowe zmęczenie
jak gdyby ojciec – studzienny żuraw
i jak mgła – niby matka
co zewsząd szeptem: Lulaj synu –
sobą – jak miękkim szalem otulając

jego kłoniącą się ku ziemi
strudzoną głowę

DOPIERO WTEDY

Pośród wielu orkanów
i ciemnych nurtów
jest tylko jeden wiatr – i jeden prąd
które od bezpoczątku skrycie podążają
we właściwym kierunku

Im bardziej szamotałem się
w pajęczynie
błahych powiewów – zagubionych prądów –
tym bardziej oddalał się ode mnie
upragniony brzeg

w którym – zaledwie majaczącym –
pokładałem (bezradny) całą mą nadzieję
na ocalenie
– Lecz ona ziściła się
dopiero wtedy – gdy wyczerpany

do cna –
znieruchomiałem niczym przesiąknięta na wskroś
zwątpieniem szmata
– Dopiero wtedy wionął ku mnie
bezbłędny wiatr – i spokojnie podpłynął

ów nieomylny nurt
– Dopiero wtedy moje – i nie moje życie
nabrało sensu –
i każde miejsce na ziemi wraz z chwilą
w której akurat byłem

stało się jasnym brzegiem spełnionej nadziei –
progiem za-świata

NIEUPRAWNIENI.

To co uniesie niebo i ziemia
to jeszcze nic – możliwość tylko –
jak jęk wszechświata
stłumiony w oddaleniu

Tylko wydaje się nędzaczom
że cierpieli biedę –
Tylko przyśniła się uwięzionym
śmiertelna kaźń przez kratę

Nikt z tych co przetrwał mór pożogę wojnę
o c a l o n y –
nie ma prawa ubliżać niebu
za chwilę grozy

Cóż za męczeństwo bez pogrzebu
albo pogarda która nie utopi w ślinie –
lub nieodwzajemniona
miłość – jeśli nie zabije

Milczcie widzowie – ustąpcie zmarłym –
Tylko oni przeżyli to – co przez współ-czucie
wydaje wam się własne – warte krzyku –
a o czym oni głucho milczą

FUNDAMENTALNA LICZBA

Trzy – to liczba
oznaczająca wszelką potrójność
mniej lub więcej znaczącą –
Trzy stany wody i ognia – jak
on ona ono

Popatrz: wszędzie wokoło ciebie
człowieku
potrójna wartość rzeczy tła stopnia –
Żadne miary i wagi – ani proporcje
nigdy nie wychodzą poza trzy

Ich wyjście oznaczałoby bowiem
nicość i niebyt –
zawalenie się stropu nieba – totalną śmierć
– a w człowieku upadek
Boga Ojca Ducha i Syna

jako upadek ze zmyślonej ściany
obrazu nigdy nie zaistniałej
Trójcy – co niemożliwe – odkąd martwą pustkę
opanowała żywa – twórcza
świadoma siebie myśl

Popatrz: roślina człowiek zwierz
w trójdzielny wzroku Boga

WOLA I ZIEMIA

Wola w człowieku jest jak imadło
– jak obręcz i powróło –
stalowy supel

Imadło po to – by unieruchomić
to – co się z wiotkiej wymyka dłoni –
łatwo wypada z myśli pamięci i serca

Obręcz – aby ścisnęła
rozeschłe klepki z drzewa wiadomości
w solidny antał doświadczenia

Powróż i supel – ażeby nimi
skrępować w niby-snopy kapryśne nastroje –
skupić rozpierzchłe czucia

Studiując wolę – można niespodzianie
ujrzeć odwieczny trud człowieka
zmagającego się wciąż

nie mniej niż z sobą – ze złowrogimi
siłami podstępnego świata
– O Tytanie

ów ogrom twego trudu najdokładniej będzie
widać – na twardej skorupie ziemi –
jeśli kolejny człowiek zdoła

pazurem swojej przez się ujarzmionej
woli – wyryć na niej
swoje prawdziwe nieznane imię

NAD GROBEM SAMOBÓJCZY

Drżał w ręce bożej kruchy ptak
radość zmagala się z przerażeniem –
szamotały się słowa:

Bardziej zaciśnij – otwórz swą dłoń

Nie wytrzymało nadmiaru napięcia
gołębie serce – nie zdzierzył rozum –
Ciagle się waha ponad grobem samobójcy
roztropność nieba:

Czy święty czy przeklęty –
i kto zawinił w dobrej sprawie:
on – czy dłoń boża – czy może ktoś trzeci
umyślnie – niechcący

Nic nie jest jeszcze przesądzone
choć na dole i w górze roi się od plotek –
Skrycie rozbrzmiewa w mrocznych kularach
za – i przeciw

Sąd się odbywa naraz
w wyniosłym niebie – skromnym kościele –
Staruszek kapłan leżąc krzyżem
wojuje z Bogiem o biedną duszę

STACYJKA

Już dawno nie ma tej stacyjki
zawsze jesiennej – spowitej ciszą –
ozdobionej daliami
na której szybach gęsto roiły się muchy

Jednakże nadal biegną tędy
stalowe szyny –
i szybkie pociągi co dnia
zgarniają stąd podróżnych – ładują bagaże

Rychło się wnurzą razem z nimi
w pobliski tunel –
Za każdym razem je odprawia
z pobocza toru polny mak w pąsowej

czapeczce dróżnika –
Koła stukając na złączach szyn
dokładnie odmierzają metr po metrze drogę
tratując – zda się bezpowrotnie – przestrzeń

Ten tunel jakby nie miał kresu –
Ale w momencie kiedy zwątpienie
zaczyna podważać sens
i cel podróży

nagle wpada jaskółka – przestrzeń rozpręga się
w dalszy ciąg krajobrazu:
nic nie zostało naruszone –
I znów mak polny w pąsowej

czapeczce dróżnika – choć już od dawna
nie ma tamtej stacyjki zdobionej daliami –
odprawia pociąg w dalszą drogę
do przystanku na którym każdy wsiąść musi

PRZEKRÓJ

Z zewnątrz mgła ciała
palisada pozorów
bełkot słów –
jednostajne dreptanie w miejscu
zwiewne obłoki koronkowych snów

Wewnątrz prastara dzika rozpasana dżungla:
nieprzebita gąszcz – duszące wyziewy
bagienne zapadnie
– wielobarwny dźwięk – i wieloznaczne
długie pauzy milczenia

W a h a n i e –
Zagłębiasz się i nie wiesz
czy to jest wykład teorii Darwina
czy trzewia ziemi – miasto – labirynt bez wyjścia –
czy ty – sam w sobie

Wyrocznia sklepień rzecze:
Każdy się musi przepawić z osobna
przez swój przkrój –
i nie zostawia złudzeń: Od grobu do grobu
z opaską zblakłych wspomnień na oczach

jak nie wiadomo kto –
jak ślepiec

JEDNO SŁOWO

To jedno słowo
którego żaden czas nie przekreśli
choć tak bardzo nieśmiało na ustach
za pierwszym razem –
i tak zuchwałe w wyobraźni

starczy – chociażby nagle w połowie urwane
za wszystkie słowa zmówione na ziemi
między człowiekiem i człowiekiem –
Za wszystkie przemilczane
pomiędzy Stwórcą a stworzeniem

Obecne wszędzie
samo nauczy tych – którzy jeszcze
nie potrafią nim władać skutecznie i pięknie
jak je wymawiać – aby
stało się mową wszechporozumienia

ZAPIS

Północne obłoki
kolejno – z namaszczeniem
wpływają
przez górną szybę zamkniętego okna

Rozwija się długi rulon
białej ciszy –
ruchome schody wyżyn po których zstępują
na ziemię: księżyc słońce gwiazdy

Na bezszelestnych arkuszach za szybą
czytam zapis nieba
do ostatniego obłoku –
za którym płasko rozpościera się

pusty popielaty ekran
– Rozumiem – że
przekazano mi wszystko
co było zapisane na tę chwilę

Wyłączam komputer
otwieram okno – wpuszczam wiatr –
wpuszczam woń kwitnącego krzewu – jęk tarczowej piły –
Jak Ezechiel połykam z a p i s – czuję słodycz

ODLEGŁE WSPOMNIENIE

Jeszcze nie ostygł siwy piach
pod księżycem –
kiedy wszedł oddział między opłotki
kaszląc flegmą i bronią
pośród rozlanej wokół ciszy

Wyminął groźnie nastroszone drzewo
czujnie przemknął przez wieś –
zniknął w uśpionym lesie
– Zaszczekały psy

Przez chwilę w mroku szamotał się kurz
niby bezdomne – przez chłód oderwane od ciała
szukające spoczynku
znużenie –
Bezgłośnie przekwitały sady

O szarym świecie
miejscowi poziewając szeptali nabożnie
komentując ów przemarsz –
Co chwila słowo: Partyzanci

Kobiety spoglądały z macierzyńską troską
pod słońce – na las
mężczyźni prostowali się dumnie –
Wiatr powiewał wolnością
w kolebce kwiliło niemowlę

CHWAŁA

Chwałę Ciebie
i chwałę się Tobą –
W ten sposób obok W i e l k i e j C h w a ł y
urasta również moja na obraz i podobieństwo
jako nieśmiały cień rzeczywistości

ZNAM I NIE ZNAM

Znam Ciebie jako niewzruszoną
opokę:

– przyczynę wszystkich stworzonych rzeczy –
i nie znam wcale w wiecznym toku przemian
kiedy z nicości tworzysz nieznajome światy

SMUTEK

Szarość połyka barwy
pierzchają myśli –
Zaledwie jedna rozbłyska niepewnie
zawieszona w mroku
nie narodzona szeptem w słowie

Moja godzina smutku
pełna słodczy –
Ktoś gra cichutko na najcieńszej strunie
serca – usypia świat –
Bezradne ręce na kolanach

Smutek to nie-wesołość
i nie zmartwienie –
Nikogo nie ma w opuszczonym domu
prócz wiatru i bieli
ogłoconych doszczętnie ścian

I tak jest dobrze – lekko:
smutek sam przez się nie waży prawie nic
– Nie próbuj rozwiąć go moja muzo –
Niech nadal w miejscu stoi
odrętwiały czas

WIELKIE OCZY

Te wielkie oczy
to była cała ona –
To do nich zwracałem się z prośbą:
Pozbądź się smutku – Nie zważała na to

Te usta zatopione w zmierzchu gdy szeptała:
Otulę cię nim
wonnym i lekkim jak cień jaśminu –
to też była ona

Doprawdy nie wiedziałem
co robię –
uwalniając ją słodką przemocą pieśczoły
od dziewiczego smutku

Bez niego – bezwstydną obnażoną z szat
z dzikim wyzwaniem w spojrzeniu
wyuzdanym śmiechem –
była zupełnie kimś innym niż ta

jak zmierzch – pełna zacisznej melancholii –
którą przed laty czy przed wieki
kochałem
– i której teraz szukam pośród gwiazd

i w ulotnych snach –
na próżno

SKARGA NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA

Czas mija a ja – z martwych żywy nie wiem
czy świat się cofnął czy postąpił
choćby o krok do przodu –
Zbyt długo układano prawicę do miecza
hołubiono nienawiść

Wojenne pieśni leciały górą
pobożne dołem –
więc skądże ja – syn nieodrodny
mojej epoki mogłem się dowiedzieć
przeciwko komu wznoszę moją pięść i oręż

O – gdybym wiedział
dawno by uschła i opadła ręka –
i byłby porażony wzrok Bogiem w człowieku
– Nic nie dotarło – jak wpierw
wojenne pieśni lecą górą

pobożne dołem – nieśmiałe i ciche:
P o d T w ą o b r o n ę u c i e k a m y s i ę
– Zagłusza je bitewna wrzawa –
więc nadal nie wiem dokąd ani po co zmierza
po moim grobie wciąż skłócony świat

MISJA SOKRATESA

Adrianie Szymańskiej

Wielkie imiona muszą
dojrzewać w czasie –
Nie mogło być apostoła
przed Mesjaszem

Wtedy w sercu Hellady
wzbierającym gwałtownym przypięciem
zasadniczych pytań – mogłeś być
tylko ty – Sokratesie

odrębny ze swą misją – i niezrozumiany
Nie ważna twoja biografia:
ciebie jakby nie było –
W dziejach liczy się tylko twe szczere wyznanie:

W i e m z e n i c n i e w i e m –
To nim wyszedłeś za całą ludzkość
naprzeciw nieznanemu Bogu
z czterowiekowym wyprzedzeniem w czasie

To wyznanie to cały ty
i my wszyscy –
wciąż jeszcze czekający u źródła nadziei
na objawienie

– na wielkoduszną odpowiedź nieba –
na „Wiem” z Betlejem
i na: „Ja jestem” z krzyża –
Tylko to było twym zadaniem

Nic nie jest dziełem ślepego przypadku
ale gdybyś żył później – spotkał Go po drodze
byłbyś trzynastym apostołem –
byłbyś nim – Sokratesie

Lecz wtedy nigdy by się nie spotkała
ludzka niewiedza ze słowem bożym
tak wzruszająco –
tak życzliwie

ZACZAROWANE MIASTECZKO

W blasku co nagle z pogodnego nieba
padł na miasteczko – i pokrył
złotą patyną domy ulice ogrody –
wyszał wilgoć – i wprawił w drżenie
przestrzeń – piękniało wszystko

Piękniały brzydkie dziewczyny
pryszczate tynki płoty – pordzewiałe bramy
wędnące kwiaty
miejskie szalety i śmietniki –
złomowiska

Piękniały brukowane ulice
zamulone sadzawki – wyleniałe koty
okaleczone drzewa
– bielizna rozwieszona na sznurach
żebracy pod kościelnym murem

Piękniał nawet zmieszany z petami i kurzem
odór rynsztoków –
wyświechtana ciasnota
podwórek
dziurawe rynny – wydeptane schodki

Bardzo dziwili się
temu nagłemu pięknu mieszkańcy miasteczka
i nieliczni turyści –
Jeden z nich idąc za swą myślą – szepnął:
To miasteczko wygląda jak zaczarowane

ZAWIEJA

Słuchaliśmy do późna muzyki:
trochę Bacha – trochę rzewnego
Schuberta –
Przez krótki moment nasłuchiwaaliśmy
kruchoj piosenki milczenia
która rychło się stłukła –
Na zewnątrz szalała zawieja
i wiatr do murów
przyciskał swoją siną twarz –
Zmarli ścigali się na sankach
i rozbawieni rzucali śnieżkami
w nasze okna –
Mroźny poranek odsłonił
ośniewającą biel – i niczym
niezmaconą ciszę

DRZWICZKI

Wcale nie trzeba jakichś
szczególnych starań:
zakłęb – wyczekiwania nie wiadomo na co –
Wystarczy tylko rósć ku Światłu
– przekradać się ku niemu
na pół-świadomie przez jawę i sen
i – obejmować

Te niewidoczne drzwiczki
gdy wzrost osiągnie i przekroczy pułap
ograniczeń –
zawsze niespodziewanie otworzą się same
dla wybujałej jaźni
– W nieobjęty spichrz posypie się
(przeleje) nadmiar soków i ziarna

Któż wie – śniąc ziemię – wpatrzony w gwiazdy
skrępowany zmysłami
bezzadnie kołający myślą
– wzrastając biernie –
czy – i w ogóle zdarzy mu się taki
moment spełnienia – gdy dla jego plonu
naraz się wszystkie osobne światy

w jednym pomieszcza
– a Ten co sprawdza poziom i dojrzałość
powie – unosząc czułe skrzydło
niczym troskliwą fałdę pogodnej przestrzeni:
Odpocznij pod nim pszczoło –
i nie zostawi więcej czasu na nic
oprócz wdzięczności i podziwu

OBA PRZYPADKI

Różnie bywa – gdy
człowiek rozpozna swą nędzę w drugim
niezamożnym człowieku

Albo go minie i pójdzie dalej
w swe samotne ubóstwo –
albo jednocząc siły poniosą je razem

mimo brzemienia niedostatku
prawie szczęśliwi –
Nieraz widziałem oba przypadki

w moim życiu:
bogactwo co swym blaskiem przesłaniało nędzę –
i ubóstwo bogactwa

Po drugiej stronie mnie
nieraz stał drugi ubogi człowiek:
patrzy mi w oczy – milczał –

Nie wiem – czy dumny czy nieśmiały
– ale za każdym razem wiedziałem
o co chciał spytać

ZAKŁOPOTANA

Zakłopotana w porywistym wichrze
przytrzymuje
jedną ręką kapelusz – drugą
krnąbrny parasol
– Niebo zaczyna płakać – pierwsze krople deszczu
bębnią o liście – burzą wiosenne tło

Zakłopotana kryje się w czyimś
przygodnym wzroku –
i chociaż niebo przejaśnia się
ustaje deszcz –
ona nadal z mocno bijącym sercem
falującą piersią

pozostaje – wciąż zakłopotana
w tym obcym wzroku –
Odruchowo składa parasol
poprawia makijaż
– Sama nie wie dlaczego chciałaby na zawsze
pozostać w owym przygodnym schronieniu

WSPÓŁ-CZUCIE Z ODDALI

Chociaż nie byłem wtedy tutaj
to jednak czułem jak wałą się na mnie
ściany i strop –
i jak pod moimi stopami z trzaskiem
zapada się podłoga

Próżno szukałem wyjścia lub kryjówki:
ktoś podparł drzwi dębowym kołkiem
zamknął okiennice
podłożył ogień –
Jak pojąć czucie w chwili – gdy płomień

skamłąc i hucząc obejmuje ciało –
Czy to ból tylko czy straszna rozkosz
niczym szkarłatny kwiat na jeszcze
nie do końca ostygłych iskrzących popiołach –
Coś mniej lub więcej

Jak można było aż tak – z daleka
wczuć się w gwałtowną śmierć czyjegoś domu
stąd gdzie tak cicho – najciszej
i nie przed – a po –
gdyż kto tu upadł już się nie poruszył

ODPOWIEDŹ

Jedyną odpowiedzią na pytanie:
Jak ocalało w pełnym niebezpieczeństw świecie
kwilące gniazdo –
za każdym razem jest pierwszy lot
młodego ptaka – jakby
dziękczynny ukłon
złożony przezeń niebu i ziemi

Popatrz przez chwilę – zrozum –
i oświecony – odejź stąd
cicho

PRZEKOMARZANIE Z BOGIEM

Z każdy dniem bardziej jestem przekonany
że nie byłbyś prawdziwym Bogiem
gdybyś nas stworzył niewolnikami

Zapewne był to moment
po wieczerzy – gdy –
zachciało Ci się mieć partnerów do gry

Stawka wysoka jak niebo
– Przyznaj – że Ty
sadowiąc nas po drugiej stronie

karcianego stołu
cenisz nas nawet za zaciętrzewienie –
lubisz za spryt – dzięki któremu

ogrywamy Ciebie –
Przyznaj że nas szanujesz
za samodzielność

za krytykę i sprzeciw wobec twych poczynań –
Tylko to jedno pozwól nam odgadnąć:
że nas miłujesz za grzechy

tym bardziej – tym bardziej –
że nie stroiłeś nas na kukły
lecz na żywe istoty – zdolne w równej mierze

do buntu i pokory –
Kontynuujmy grę Seigneur:
Tyś Bóg prawdziwy

PETENCI

Gmach był nadzwyczaj wyniosły
Wchodzili doń nieśmiało ci – którym
nieżyczliwy wiatr
wiał uporczywie w głodne oczy

Długo wspinali się
po szerokich suto zdobionych schodach
do wielmożnych drzwi
zza których coraz rozlegał się
władczy ryk

Nie zdarzyło się nigdy aby ktokolwiek z nich
ośmielił się zapukać
lub dotknąć klamki –
Trzymając buty pod pachą
zawracali cicho –
i znowu brnęli przez posepny czas

bez dzisiaj i bez jutra
do swoich domów –
gdzie ich niezmiennie witały w progach:
ziąb płacz głód – pochmurny połysk szyb

Stali w nich chwilę niezdecydowani
– aby wkrótce
znowu podążać pustą ulicą
pod ostro tnący okrutny wiatr
do wyniosłego gmachu – próżno szukając w nim
odrobiny współczucia

POMIĘDZY

Dzień woła: Wyjdź z mieszkania –
tyle do obejrzenia
Noc szepce cicho: Zostań – ja tobie pokażę
we śnie
o wiele więcej niż dzień dać może

Wciąż stoję w progach niezdecydowany
czując – jak rosna we mnie naraz
dwa światy –
ciągle nieświadom który z nich bardziej
jest rzeczywisty

W obawie przed oboma
wciąż jestem tutaj – w brzasku lub zmierzchu
na pograniczu wabiących mnie głosów
jak ślepy kret u wrót podziemi
oczekujący trwożnie na łopatę losu

WIATR PRZEDWIOŚNIA

Karolowi Maliszewskiemu

Urzekający jest wiatr przedwiośnia –
Tyle razy słyszałem
jego rzewny śpiew
łamiący się na węglach uspiętego domu

Co rok spotykam go bezsenny
w księżycowej dolinie –
i kiedy na mych ustach nieśmiały szept nocy
okrzepnie w wyraz

mówię doń: Witaj stary –
Ten krzew płonący na obłym wzgórzu
to on – Zawsze stamtąd się zrywa
aby podpalać szczątki wczorajszego świata:

wspomnienia – liście –
Huczy ogromny pożar pod niebem
kłębią się chmury dymu
i skwierczą iskry na wilgotnej ziemi

O wiem – gdy minie noc
rosa na trawie się położy –
i zanim zdążę szepnąć w niewiadomą stronę:
Do zobaczenia za rok –

wpierw się odsłoni przed wciąż od nowa
zdumionym wzrokiem
dokładnie umieciona ziemia –
i poranek jak kryształ wykąpany w strudze

Ani śladu popiołu swędu dymu
ani śladu wiatru –
Za oknem głośno cieszą się wróble
wiedząc – nie wiedząc z czego

W PRZEPLYWIE CZASU

W zawirowaniach czasu
rodzi się zwykle wiele chwiejnych istot:
mnożą się krzywe wieże – szamocą żywioły –
i ten co idzie ulicą wiatrów
nie zauważa własnej śmierci

pod kołami –
ani w wezbranej gwałtownie wodzie
ni w spadającej wprost na jego głowę
z rusztowania – cegle
Dawna epoka nagle ulega wstrząśnieniu –

i oto w nowej fazie dziejów
ziemi i świata –
poddanych próbie wytrzymałości – przed
następnym dniem stwarzania czegoś
z niczego

ponad pękniętym czołem któregoś z kolei
losowego przechodnia
powstaje c o ś – dzięki czemu
czas znów spokojnie płynie – w jeszcze
nieistniejącą przyszłość

– lecz już bez n i e g o –
jakby go w żadnym czasie nie było

NIE DO PRZEWIDZENIA

Świętość to nie uświęcenie –
Uświęcone jest każde ziarenko
piasku na ziemi
– dosłownie wszystko – stwórczym aktem Boga:
flora i fauna
lądy i morza – wiatr i chmury

Uświęcone są wszystkie źródła światła
których niezwykły blask dociera
z bezgranicznej przestrzeni
do żywych oczu –
Co raz się dokonało po zakrytej stronie
po odsłoniętej dzieje się nadal

(nie powtórzone)
w nieprzekraczalnych granicach zamierzeń
– Nikt nie przekroczy ram
zaplanowanej dlań egzystencji –
nigdy się nie odmienia raz ustanowione
zasady bytu

Powszechne uświęcenie nie jest
synonimem świętości – a prawa natury
różnią się od praw
dotyczących człowieka –
Są dlań cierniową koroną i krzyżem
i pętami

na wyznaczonej mu przez Stwórcę ścieżce
do świętości –
Cała natura śledzi z zapartym oddechem
jego tytaniczne zmagania
z sobą i losem –
ciągle niepewna czy zbawi

w Synu Człowieczym – pomnożonym w wielu
siebie i świat –
bowiem co raz się stało w przedwiecznym wymiarze
w doczesnym wciąż się dzieje nadal
nie do przewidzenia – dopóki tam
już spełnione – tu jeszcze nieobecne

OKRĄGŁE DATY

Dziś o południu wnuk przyniósł z miasta
żałobną wieść o śmierci
Leszka Kołakowskiego – filozofa –
Piękny wiek – powiedziałem z odcieniem zazdrości
w głosie

Powiedziałem to tak – jak gdybym był
dużo młodszy od niego –
co najmniej o tyle – co mój
trzydziestoletni wnuk

Dopiero po dłuższej chwili
z nagłym zdziwieniem – dziwnie zaskoczony
przypomniałem sobie
moje bez mała dziewięćdziesiąt lat –
i poczułem ich wagę

S a m e o k r ą g ł e d a t y – wyszeptałem w myśli
z niedowierzaniem że żyję tak długo
choć nie jestem filozofem
w dodatku tak wybitnym – lecz w porównaniu z nim
raczej kimś nikim

Popatrzyłem uważnie
na młodość wnuka – przejrzałem się w niej –
i już bez krzty zdumienia powtórzyłem w myśli:
S a m e o k r ą g ł e d a t y –
jakby to było jakieś wyjaśnienie
niezrozumiałych zrządeń losu

TANIEC

Nikt stworzony
nie wymyślił tańca –
Tylko go sobie łatwo przypomina
płytko wpojony mu
wraz z poczuciem

Bez przerwy tańczy przed oczyma
tańczącego bóstwa – zarówno to
co niby-martwe i co niby-żywe
po obydwu stronach
wszechistnienia

Bębnią o ziemię ludzkie i niehumanitarne stopy
w górze wirują chmury
krążą planety wokół słońca –
i po tańczącym z wichrem drzewie
w ślimaczym tempie wije się roślina

Z tych wszystkich tańców – gdzieś
u zakrytego źródła rzeczy
pozostaną na zawsze najpierw dwa
– a ostatecznie jeden –
gdy się natkną na siebie w tym niezwykłym miejscu

niby-życia i niby-śmierci – i złączą
wracając do swej pierwotnej formy
w przedwieczny odruch egzystencji –
którego nie powstrzyma
nic – ani koniec starego

ani początek nowego świata –
Ani tańczące bóstwo

WIDNA NOC

Jakaż to noc nastąpiła dla mnie:
cały świat mocno śpi w czterech ścianach
wszystkie spojrzenia uwiedzione przez sny –
i tylko przed mym wzrokiem otwiera się ciemność
na to co w niej ukryte

Na próżno wichry zbija mroki
księżyc mami na przemian to blaskiem to cieniem –
na próżno gromy
– Przez wszystko co przesłania
jak nigdy przed tym odbieram w szczegółach

i jakby z wyprzedzeniem – każdy ruch
odgłos – Nic nie ukryją miasta
poła knieje –
Nic nie ukryje ziemia – nie zatrzyma niebo
ani niczego nie zatają cienie

Widzę mieszkanie w uśpionym mieście
w którym za chwilę umrze nagłą śmiercią człowiek –
Słyszę ostry dźwięk skrzydeł leśnej sowy
i łoskot powalonego
przez wiatr badyla

Dokładnie rozpoznaję drogę
(dotychczas mi nieznaną)
którą się wkrótce potoczy los wielu –
I słyszę jak przez sen krzyczy
samotność starej panny tłumiona na jawie

Tylko swe imię nawisła ciszą
całkiem głuży przede mną owa jasnowidna
noc – jakby mi chciała rzec:
Odnajdź je w śnieniach żywych i umarłych
nim się na niebie rozpostrze brzask

NIE KOŃCZ - JEŻELI

Skądże wiem o tym – że kiedy oczy
wyogromnieją aż tak
że cały wszechświat w sobie pomieszcza –
a słońce przez nie przeleci jak złoty
ptak – i zgaśnie –
że właśnie wtedy koniec zetknie się z początkiem
iszcząc wieczny krąg
w imię Ojca i Ducha i Syna

A tu zaledwie wymknie się z bezwładnej
dłoni gromnica – spłonie dom
coś bezpowrotnie się zatrzaśnie
jęknie ziemia –
Ciężko się zwali martwe ciało w glinę
cicho zaszumią w odlocie skrzydła –
czyjś cień osierocony legnie na mogile

A tam we wzroku odwróconym
rośnie ciemność
dymi od góry – iskrzy –
i nagle się rozlewa niewstrzymanym blaskiem
uwydatniając – na nieokreślonym
tle – ludzką duszę
Skąd o tym wiem – jakby zawczasu
tu po nietrwałej stronie istnienia

Czy –
Nie kończ – jeżeli sądzisz że to niemożliwe

MIĘDZY WCZORAJ A DZIŚ

Te kilka godzin bezsennych od
zmerchu do świtu –
O przypominam sobie: było wczoraj – jest dziś –
Wokół to samo lecz jakby inne
w poświacie brzasku:
bardziej subtelne cichsze tajemnicze

Pod cienką warstwą kurzu
ostrożnie szukam znanych przedmiotów:
poobijanych mebli – zwiędłych bibelotów
kopii van Gogha
– Ach wzbić się ponad zmienną postać rzeczy
odszukać nieodległą świetność:

stały punkt odniesienia
wraz z orientacją w miejscu i czasie
by móc ponownie spotkać siebie –
Przejrzeć się jak przed laty niczym w lustrze troski
w spojrzeniu matki –
w nadal żyjącym wzroku umarłej

Znowu – jak niegdyś – wkroczyć w jego światło
wolny od niepokoju w raczkujące dzisiaj –
w którym przedmioty szybko odnajdują
swoją zwyczajną praktyczną postać
zupełnie taką – jaką miały
w zapomnianym dzieciństwie

O KRÓLU ZIMY – BAŁWANIE

Któż by uwierzył że ten pyszny bałwan
który przez całą zimę stał
w poczesnym miejscu na podwórzu –
i którego dzieciarnia okrzyknęła królem
zimy –
skończy tak marnie w osamotnieniu
niczym ostatni nędzarz

Gdy tylko powiał nieco bardziej ciepły
marcowy wiatr – w południe odpadł mu
marchwiany nos
pod wieczór wypłynęły czarne oczy z węgla –
W ciągu paru dni bałwan zmienił się
nie do poznania – obrzmiał zmalął
poszarzał

Zsunęło się futro
wydając jego żalostną nagość
na grad i deszcze –
Wkrótce odpadła głowa – w końcu cała postać
rozlała się w kałużę
– Wstał jasny dzień – zadzwoniły ptaki
obeschła ziemia

Przedziwnym trafem w miejscu gdzie zginął
bałwan – sezonowy król zimy –
niczym o całą zimę opóźnione pазie
nieśmiało zakwitły pierwiosnki

TRUDNA WOLNOŚĆ

Nie łatwo jest wyjść na wolność
po wielu latach zniewolenia
jednostkom czy narodom
nawet gdy zdjęto strażę – odemknięto bramy

Nie łatwo jest starym więźniom
zachłyśniętym swobodą
zorganizować w niej od nowa
nieskrępowane normalne życie

Długo – z bolesnym trudem otrząsają z siebie
nieczysty osad
i wydłubują zatruty grot z serca –
Długo przyswajają oczy

do wolnej przestrzeni –
Ci którzy temu nie podołają
będą aż po ostatni dzień swojego życia
nosić więzienne piętna

Wszyscy pojedynczy skazańcy
zarówno jak i ujarzmione ludy –
będą musiały – jeśli – chcą odzyskać godność
uwolnić się od wpajanego im

latami kłamstwa:
że są zakałą ludzkości –
i jako tacy w pełni zasłużyli
na kraty zamiast nieba w nieprzyjaznych oknach

O nie łatwo jest
po latach zniewolenia jednostkom – narodom
odzyskać wiarę w siebie – i bez lęku
śmiało przekroczyć próg nadziei

I bez wahania – już w wolnym świecie
uczynić krok do przodu

TRWANIE

Wciąż jestem –
Oto ustronie w którym
rozdałem niegdyś bez reszty siebie
otoczeniu:
drzewom obłokom
gwiazdom strumykowi

Pamiętam:
pozostał po mnie tylko nieważki cień
mikroskopijny osad na skałach
niedostrzegalne drżenie liści –
zmarszczka na wodzie

Umarłem –
czując w momencie zgonu niewypowiedzianą
błogość
– I nie było mnie odtąd ani
pośród żyjących ani umarłych

Wskrzyszony –
patrzac na miejsce błęgiego skonania
widzę dom okolony wiatrem – śpiewem ptaków –
i siebie naraz w wielu twarzach
już odłączonych od sennego tła

Ziemia ta sama:
miłosierna okrutna –
Stara arka przymierza podążająca do
portu – zwanego portem przeistoczeń –
Wznosi się dzień – zapada noc

Umarłem – zostałem wskrzyszony
Zapomniałem – pamiętam
W c i ą ż j e s t e m

ROZWAŻNA TWIERDZA

Masywna
wykuta w twardej skale
niezwyciężona –
która odparłszy wszystkie groźne szturmy
gdy czas jej minął – poddała się
bosej trawie

Nie mogła podjąć lepszej decyzji:
dzięki niej – dzisiaj
w cieniu jej wietrzejących murów
pasą się mleczne trzody –
poranne wiatry dmą w szklane piszczalki
i nikt nie trwoży się o jutro

Zdjęto strażę –
Najeźdźcy obojętnie wymijają z dala
porosłe dzikim chwastem ruiny –
Czasem tylko turysta
przystając w dole na gruntowej drodze
oddaje hołd podziwem męstwu i rozwadze

Dwu trudnym cnotom z których:
pierwsza – gdy trzeba – odpiera złe moce
druga – gdy pora – poddaje szańce
ubogiej trawie – by na zawsze
utrwalić pokój
w miejscu – gdzie w bojach wyszczerbiony miecz

zatknięto w ziemię krzyżem –
wokół którego
roztacza się bezpieczna przestrzeń

JUŻ WIEM

A więc dopiero dzisiaj
gdy dość się napatrzyłem świata – zrozumiałem
co sprawiło że nagle mój wzrok
krótkowidza
ograniczony ciasnym horyzontem –
w jednym momencie stał się rozległą
bezgraniczną widownią

Doprawdy wystarczyło tylko
uważnie obserwować – zda się bezcelowe
pełzanie strużki wody
skądkolwiek –
ażeby pojąć w jaki sposób
zupełnie najzwyczajniej dochodzi do
przerwanie granic przez zagarnięcie

Najpierw za ledwie
paru drobin piasku – kielka
aby już wkrótce strużka rozwinięta w potok
jęła połykać własne brzegi – głązy
żłobiąc koryto sobie pra-rzece –
w odbitym cieniem w rwącym nurcie
krajobrazie

I oto jakby nagle – jakby zaskoczona
rozlewa się bezbrzeżnym morzem
nakarmiona ziemią
– i wciąż niesyta
sięga po srebrne grona gwiazd –
O już nie pytam – zamyślony
co stało się z mym krótkowidnym wzrokiem

Już wiem – i już mi żadnych więcej
objaśnień nie potrzeba

LEGENDA O KACZEŃCACH

Krzysztofowi Lisowskiemu

W starą legendę o kaczeńcach
krążącą z dawna po wsi
łatwo było uwierzyć patrząc na złocone
anioły – w starym drewnianym kościółku

Podobieństwo
wprost narzucało się w oczom –
i baśń natychmiast w wyobraźni
przyoblekała się w realny kształt

Jest wczesna wiosna – i oto o brzasku
złote anioły wyfruwają
spod kościelnego stropu –
aby wkrótce przycupnąć na pobliskiej grobli

między stawami
jako błyszczące w wschodzącym słońcu
odbite w ciemnej wodzie kaczeńcowe kwiaty –
i już na długo tam pozostać

Pierwsza ich postać spiesznie powraca
do świątyni na poranną mszę
– zawisa u stropu
i grzecznie składa dłonie do pacierzy

Wydyma niemym śpiewem policzki
i uśmiecha się skrycie
do wiosennego nieba słońca stawu grobli –
maskując uśmiech pobożnym skupieniem

– Do siebie pod postacią kaczeńcowych kwiatów –
zupełnie tak jak było
w tej przypominanej starej legendzie
krążącej po wsi

GRZECH

Jestem w podeszłym wieku – ale
moja młodość wciąż
żwawo biegnie przede mną

Co pewien czas powraca aby mi oznajmić
że świat jest nadal
nieprawdopodobnie urzekający

Zatrzymujemy się –
i przez dłuższą chwilę pełną piersią wdychamy
cudowny aromat natury

I znowu moja młodość
biegnie przede mną młodym zakochanym –
ubiegłe lata się nie liczą

I cóż że starość mi wypomina
płochotę – gdy równocześnie niebo mi odpuszcza
grzech zachwycenia

OPOWIEŚĆ ÓMY

Ciemność jest drzewem nocy –
Słyszę jego głębokie milczenie
spotęgowane monotonnym śpiewem
pasikonika na
spowitym mrokiem krzewie

Łowię jego szumy
podobne tchnieniom spokojnego morza
co bezgraniczne – nigdy nie dosięga falą
nieobecnego brzegu

Ponad niepewnym zarysem ziemi
wyczuwam nietoperza
w pogoni za mną – i powyżej
wiotkie gałązki
gęsto obradzające młodymi gwiazdami

Rozchylam skrzydła:
spada w nie księżyc z kiścią obłoku –
Wołam: Lampionie lampionie – lecz on już
z wolna przygasa i w asyście
bladych obłoków schodzi z niebosiężnych wyżyn

Dojrzałe gwiazdy spadają w jeziora
nietoperz wyłącza radar
zatacza błędne koła
znika w pieczarze –
Drzewiasta ciemność rozplywa się w brzasku

Natomiast ja – nocny motyl – wracam
syta wrażeń z najdalszej w moim życiu wędrówki
z powrotem do katakumb –
na co dzień przyszpilona do półmroku
słonecznym promieniem

TO NIE TU

Zbigniewowi Jankowskiemu

To nie tu gdzie ciała
wbrew sobie bezustannie wpełzają w podziemia –
a dusze ćwicząc siłę lotek
co dzień próbują – czy już
zdolają unieść je w słoneczną przestrzeń

to nie tu pora na odpoczynek
na modły o sen
lub błogą ciszę – święty spokój –
Zbyt cenna każda chwila wobec doniosłości
zadań

Któż wie jak wiele dano mu czasu
na wzrost na naukę na dojrzałość –
na zrozumienie sensu – dostrzeżenie celu
– na ukończenie dzieła –
i na wieńczącą je radość spełnienia

O – to nie tutaj wygoda:
ciała do końca muszą zgłębić ból
dusze wycierpieć –
Tu o nic więcej prosić nie wypada
niż o dostatek sił

ŻYWE PRZYPOMNIENIE

Okazuje się że również i dziś
po tylu latach nieobecności
w tamtym czasie – można jeszcze usłyszeć
znowu jak niegdyś tamto wezwanie
brzmiące jak ni to rozkaz ni troskliwa prośba:
O c k n i j s i ę – I znów

można jeszcze zobaczyć
jak żywą – czyjaś oniemiałą postać
na gruzowisku – trzymającą
w kurczowo zaciśniętej – zwróconej ku niebu
dłoni
parę kobiecych zdartych trzewików

I ciągle można jeszcze usłyszeć jak wówczas
skargę – niczym żałosny refren
pełen niedowierzania
tamtej nie całkiem zakończonej pieśni
o walce i miłości – o klęsce i śmierci –
zabitym mieście

O głośno nuczysz ten swój refren
anonimowy żołnierzyku – że aż
rozrywa czas
i aż po dziś – jakby szkarłatną krwawą pręgą –
gdy tak wciąż wołasz oniemiały
wznosząc ku niebu damskie trzewiki:

„Tyle mi po kochaniu pozostało szczęścia
w kurzu i błocie – w swędzie trupim” –
i patrzysz jak na wroga nieprzytomnym wzrokiem
na przyjaciela – który
dziś równie jak tam-wtedy żywy
daremnie stara się ciebie pocieszyć

OBRACHUNEK

Gdy się policzy razem
tych wszystkich wyrobników – albo i inaczej
pożytecznych – których pozyskał człowiek
w przyrodzie – aż zapiera dech

A wdzięczność nieraz byle jaka
albo i żadna
za pracę wierność daninę rozrywkę –
dla bydła koni drobiu czy dla pszczół

papug psów kotów
ba – nawet dla człowieka –
tak często i tak niegodziwie
jak ze smętnego porzekadła – psi los

Skąpo dla ziół
niewiele dla jabłoni
prawie nic dla budulca w dębie
zupełnie nic dla leśnych owoców

A pomnożywszy razem te wszystkie zasługi
dla człowieka – przez wszystkie przeminione wieki –
krzyczą tak głośno do nieba – aż
zapiera dech

STĄD

Stąd wszystko legendarne
fantastyczne niepewne śnione –
Nawet początek własnego życia
ukryty w świetle podobnym do mroku

Stąd – trochę bardziej rzeczywiste
jedynie co bolało
jeszcze nie całkiem zgubione w przestrzeni –
znieczulone przez czas

Stąd się nie wraca –
Jak zmierzch – tak cicho się zamykają
wrota wyzbytych z treści wspomnień –
wietrzeją twarze

Stąd już się nie da niczego rozpoznać –
i tylko serce drgnie czasem
na jakiś szmer czy szept
którego może wcale nie było

Stąd się nie wkracza w przyszłość:
niespostrzeżenie skończyła się droga –
i można tylko cierpliwie czekać
na coś – nieznaną

Może uderzy jak grom z nieba
by piorunowym błyskiem rozłupać rdzeń nocy
lub może zgasi wszystko:
i świat – i oczy

WIEJSKIE PORY

Andrzejowi Grzybowi

Nie dośni w wiosce mieszczech
późniejszego miejskiego poranku –
Jeśli nie zbudzi go bociani klekot
ryk bydła – to na pewno
wyrwie go ze snu wniebogłośne
gdakanie kury
oznajmiającej całemu światu –
że oto zniosła jajko

Bo tylko na wsi
gdzie wraz ze wschodem słońca przez otwarte okno
do mrocznej izby ręczo wpada
młody dzień –
może gość z miasta przypomnieć sobie
zapomniane w śródmiejskich murach
– naturalne –
zgodne z prastarym rytmem wszechświata
pory: krzątania się i odpoczynku

Tylko tu – na wsi
gdzie tak prosto się żyje jakby promień padał
– i tak cicho umiera
jak jesienny liść –
tylko tu jeszcze jak dawnymi laty
słońce zamyka i otwiera
ludziom powieki o właściwej porze –
na jawę i na sen

REZYGNACJA

Zabrakło czasu i sposobności
na podróż dookoła świata –
Już nie zdołam utrwalić w słowach dla nikogo
jego obrazów

Pozostaną na zawsze – półmartwe półżywe
na widokówkach i ekranach –
niczym bezwonne kwiaty
nieporuszone najłżejszym wiewem

Już nie tęsknię za nimi –
choć w młodym wieku zazdrościłem nawet
podróżnym z Tytanika złowieszczego lśnienia
lodowej góry

Teraz – boleśnie przyrośniętemu
do skrawka ziemi przodków –
jawia się bardziej niezwykle widoki
ponad pękniętym horyzontem

A te strony o których niegdyś śniłem
mną nie ożywione –
dziś – obojętnie śledząc wędrówkę obłoków
żegnam – choć nigdy (ich) nie witałem

WIGILIJNY SEN

Przyśniło mi się niebo jak wiosenna łąka
jak las –
W strugach słonecznych promieni – aż po
bezkres – mieniły się kwiaty we wszystkich
tęczowych kolorach

W złoto-błękitnej przestrzeni
krzyżowały się z sobą biegnące na różnych
poziomach drogi –
Wszystkie miały nawierzchnię
ze srebra

I co dziwne że – choć rozbiegały się
w różnych kierunkach – wszystkie dążyły
do jednego – o nieskończoność
odległego celu –
który jednocześnie był tuż

Wszystkie były ruchome –
Siedziały na nich stały bądź spacerowały
najrozmaiciej upostaciowane –
w niewielkich grupach lub pojedynczo
zbawione dusze i anioły

Zewsząd jak race wzbijały się w górę
gorejące gwiazdy:
olśniewający widok –
Tylko jedna z nich – najjaśniejsza
gorzała nieruchomo na krawędzi nocy

w miejscu gdzie niebo stykało się z ziemią
niemalże w punkcie – w którym wszystkie
niebiańskie drogi kończyły swój bieg
– Więcej nic nie widziałem –
Słyszałem tylko szelest gęsto spadających

śnieżyn – i czułem żywiczną woń
choinki
– Potem nastąpiła niezgłębiona cisza –
a jeszcze bardziej potem ktoś z nagłą zawołał:
Oto człowiekiem narodził się Bóg

W tymże momencie zbudziłem się
jak gdyby naraz po obydwu stronach –
w pełni świadomy – że podróż
dobięła celu
tu – gdzie ponad kolebką cały świat się skupił

SPÓŹNIONY LIST

Nic więcej nie mógł uczynić
stary człowiek dla ulubieńca kota
poza uśpieniem go –
kiedy na niczym spełzły
wszelkie próby zapewnienia mu
godziwego przytułku

Krewni i przyjaciele odeszli
wcześniej – sąsiedzi i dalsi znajomi
pokrętnie wymówili się –
Jedyne schronisko
przepelnione

Kiedy podawał ulubieńcowi
śmiertelną dawkę nasennego leku
zasłabł i osunął się – Bóg raczy wiedzieć gdzie:
w światłość czy w ciemność – Po kilku dniach
odnalazł ich listonosz – o ironio

przybyły z życzliwym listem
od pewnej damy
zwanej – po trosze uszczypliwie
kocią ciotką – Szkoda że tego listu
adresat nie mógł już przeczytać –
Chodziły różne słuchy

CZAS I DOM

Tadeuszowi Osińskiemu

Zwyczajne staje się niezwykłym
kiedy się nagle spostrzeże jak
szybko zleciał czas –
zarazem krótki i dość długi na to
by w nim tak wiele zdarzeń się nagromadziło
tyle żywotów się zaczęło –
skończyło

I czyż nie jest dziwne
i niezwykle –
że w tym tak prędkim czasie ciągle stoi dom
w którym się niegdyś narodził mój tato
– i że wciąż trwa – choć wokół niego –
i w nim samym
po wielekroć się odmieniły ludzkie
i nieludzkie losy

Trwa – mimo że mój ojciec
tak dawno zginął w niemieckim obozie
totalnej zatury – i pomimo że
na pewno w tym domu
przyszedł na świat – ale grób jego
na zawsze jest nieznanym

Opłynęły ten dom – bez naruszenia
jego substancji złowrogie dzieje
niczym potop arkę przymierza –
Ileż to coraz nowych i niepowtarzalnych
ludzkich istnień dotarło w nim do
brzegu wieczności –
Wszystko przetrzymał ten murowaniec
przy niegdyśniejszym rynku małego miasteczka
i dziś – gdy szczątki mego taty

leżą nie wiadomo gdzie –
on stał się dla nich siedliskiem pamięci
nowych pokoleń w tym spiesznym czasie
co wszystko grzebie
oprócz przesianej przezeń prawdy o człowieku

Czyż mogę patrzeć nań bez wzruszenia
ja: – syn – w ziemskim wymiarze
dwukrotnie starszy od mojego taty –
którego oblicze
z każdym dniem coraz bardziej blednie
w mej pamięci
świecąc jakoby słońce w mym strudzonej sercu

COŚ ZA COŚ

Wyciągnij dłoń ku Niemu
a On rozpostrze ci w pobliżu
prawicę nieba

Zrób choćby jeden krok w jego stronę
a On na dziesięć wyjdzie ci naprzeciw
po kładce uśmiechu

Uklęknij przed Nim – owad marny
a On nad twoją nędzą schyli się jak drzewo
chroniąc przed wichrem

Oddaj Mu wszystko co masz –
a On ci za to twoje nic
da wieczny byt – dorzuci Siebie

SKOJARZENIE

Czy ta gorąca południowa
godzina
pełna w swym wnętrzu ślepo rozpędzonych
atomów – od zewnątrz zwiędła –
była na tyle warta – aby ją opisać
w zimie

tego doprawdy nie wiem –
Raczej przypuszczam że się zaproszyła
w strofę – tylko przez przypadkowe
skojarzenie
śnieżki z motylem bielinkiem –
Bywają takie dziwne zbitki u poetów

Tak czy inaczej ujrzałem ją
niezwykle wyraziście
w mroźnym tle –
i świat zdrętwiały w niej od upału
jak tu od zimna – który nic nie znaczył
wobec tej śnieżki-motyła

I tu i tam – jakby poza czasem
jedynej żywej cząstki jakiejś
pramaterii –
co niezależnie od wszystkich pór roku
tańczyła tuż przede mną w dwojakiej postaci
życia i śmierci – naraz

jak jeszcze nie wiem co
choć niejasno sobie przypominam

STOPY I ZIEMIA

Krzysztofowi Kuczkowskiemu

Ciężkie są stopy człowieka
na naskórku ziemi:
gdy idzie ranią – kiedy stoi gniotą –
Głębokie ślady jego pradawnej wędrówki
trudno się wypełniają

Jeśli marszruty nie powtórzy
pomału ścieknie w nie podskórna woda –
i odtworzy
rzeźbę terenu – lasy pagórki
do których znowu spłyną po powietrzu ptaki

Nieraz przechodniu
popatrzysz z żalem na twe ciężkie stopy
co depcą –
i gdy rozpostrzesz bezradne dłonie
ujrzesz swe chwytne ręce jak stalowe kleszcze

zaciśnięte na globie
– Czymże się wyda całe ciało –
A jednak nawet jeśli cię przerazi
niespodziany widok –
nie uciekaj

Odetchnij –
Spokojnie policz szkody – i spisz je na straty
jako prawy gospodarz –
bo tylko tym sposobem możesz z sobą zgodzić
ciało i ziemię

MÓJ OCEAN

Anecie Krawczyk

Tak po kryjomu rozlałeś się we mnie
oceanie – mój oceanie –
Tak skrycie pogłębiłeś – że jeszcze przed chwilą
nie wiedziałem że jesteś

I pewnie
gdyby nie nagła burza z błyskawicą
która cię w moim mrocznym wnętrzu ujawniła
wciąż bym cię nie znał

A oto teraz się rozciągam
aż po nieznane granice mej jaźni –
i stojącemu na twym domniemanym brzegu
naraż wyrzucasz pod stopy naszą

wspólną zawartość –
O nie wiedziałem że aż tak obfita
zasobna w perły ryby – zatopione statki –
w sól bursztyn i korale

Jednak od chwili gdy cię dostrzegłem
we mnie – nie dla tych bogactw tobą płynę
jakoby fala pełna śmiechu –
lecz dla bezkresnej ciszy twych tajemnych głębin

która mi obiecuje
niczym łagodnie odbite od
mułu dna – boże echo –
wspaniałomyślny dar wiecznego trwania

PODRÓŻE DO NIEDALEKA

Po tych naszych podróżach
całą rodziną do niedaleka
zostały tylko fotografie
przyświadczone snom – miłym wspomnieniom

Wyruszyliśmy w nie
na rowerach – lub
wypożyczoną od sąsiada
furmanką – albo i pieszo

Zamawialiśmy na nie – wróżąc w przeddzień
wszystkie pogodne i wolne
niedziele – Zaraz po mszy
świat się przed nami szeroko otwierał

zapraszał w pobliskie – jeszcze dotychczas
nie odkryte przez nas zakątki –
Obiecywał przygody
i skarby

Nigdy się nie zdarzyło aby nie dotrzymał
danego słowa –
Dziś – gdy rodziców i rodzeństwa nie ma
w każde zachmurzone święto

przypominają mi się żywo
wszystkie przygody naraz –
i odnajduję w starym albumie
nienaruszone przez czas pozyskane łupy

I muszę mu to przyznać – czasowi
zwłaszcza temu sprzed lat –
że był naprawdę niezawodnym
patronem

tych naszych opisanych na wiekowych drzewach
i na upadłych gwiazdach
cennych podróży
całą rodziną do niedaleka

Po prostu nie ma i nigdy nie było
straconego czasu –
To tylko pamięć – dopóki życia
błąka się w łzawej mgłę wzruszenia

TRUDNA SYTUACJA

Z twojej strony Panie wszystko proste
kiedy w stosownej chwili
Ty – niepojęty ogrom zionący na światy
życiem
nagle skurczyłeś się do naszego
nikczemnego wymiaru –
i przybliżyłeś się do każdego z nas
na odległość serca –
Gdy się zamknąłeś w klatce czasu
i skrępowałłeś siebie ciasnotą przestrzeni

Lecz to co było tak proste dla Ciebie
nieprzerwanie się wikła pośród nas –
Łatwiej nam było nie znać twojego ogromu
niż zastać Ciebie bliźnim
w progach naszego ziemskiego domu –
Cóżeś uczynił

I byłaby ta sytuacja
wprost niemożliwa
choćby patrzeć twarzą w twarz
choćby tłuc głową o mur –
gdyby nie nadzwyczajna wszechprostota krzyża
podtrzymująca w swych ramionach
ginący z każdą chwilą
stworzony według twojej najlepszej woli
niedoskonały świat –
Panie – czy nie żałujesz
tego pomysłu

WIATR

Wiatr to jest ktoś (czy coś) co łamie przestrzeń
przesiewa ziemię – i z dna zbiorników
wód – wypłukuje osad –
Ktoś (coś) – co ustalone fragmenty pejzażu
przesuwa i ustawia
w nietrwałą całość

Powiał – i oto przekwitają sady
jakby ktoś zerwał z okien firany
i cisnął je w kurz –
Powiał znowu – rozproszył obłoki
i zakołysał słońcem nad zdmuchniętą ziemią
otrząsnął z nieba gwiazdy

Nie doszukają się w wiatrołomach
ptaki gniazd swoich – ni powracający
o brzasku do swych domów nie odnajdą drogi –
Na zawsze utkwi im w pamięci
jak bicz – świst wichru – który
zatka im usta okrzykiem trwogi

za każdym razem kiedy poczną wołać:
Za co nam ta chłosta –
Lecz nawet wtedy – gdy w sobie na to
nie znajdą odpowiedzi – to „ktoś” („coś”)
ustanie – gdyż wiatr jak dziecko – szybko porzuca
chwilową psotę dla nowej zabawy

PSOTNA ŚMIERĆ

Albo znudziło się śmierci
jej monotonne prastare zajęcie –
albo się przeraziła własnego
żniwa –
pożałowała ofiar

Bo czymże innym można wytłumaczyć
że coraz częściej
zwraca się do lekarzy – zwłaszcza do chirurgów
na pół z prośbą – na pół z rozkazem:
Wy decydujcie – ja umyłam ręce

Zdarzyło się tak i dzisiaj
w pełnej blasku
operacyjnej sali –
kiedy na czulej wadze wahało się życie
starej kobiety – z woli złego losu

jedynej opiekunki dwojga
nieletnich wnucząt – już skazanej
odgórnym wyrokiem na zgon –
właśnie w tym dniu o którym mowa – mimo
że rozpaczliwie napierała się

wrócić do dzieci
– Śmierć popatrzyła na nią przenikliwym wzrokiem
i nieoczekiwanie –
w decydującym momencie
szepnęła do chirurga: Ty sam zdecyduj czy

przeciąć tę nić – I tak jak była
przeźroczysta
usunęła się w cień –
jakby z przelotnym błyskiem psotnego uśmiechu
w wklęsłych kącikach wąskich marmurowych ust

KWIATY PUSTYNI

Wzejdą gdy tylko ponad wydrami
gdzie każde ziarnko piasku stokroć opłukane
przez porywczy wiatr –
przeleci wzdęta burza z piorunami
i napoi – jak odwieczną skargę
śmiertelne pragnienie
pustyni

I zakwitną pod słońcem w drżącym od gorąca
przestworzu niczym
prawie cud – nierzeczywista mgła
pastelowych kolorów –
wpół oderwana od pustynnego
palącego podłoża migotaniem świateł
w porannej ciszy

I uleci ten miraż
już od początku nieprawdopodobny
zdumionym oczom jak chwilowa baśń –
jak sen
– Jak sen który przekroczył granice zachwyty
i oto rozwił się w pustej przestrzeni
jak wniebowzięty tęczowy dym

AMARANTY

Amaranty amaranty –
Znowu łopocą chorągwie nad głową
i znów srebrzystym skrzydłem w górze
błyska biały orzeł–
I można by się cieszyć
gdyby nie tylu naraz przysypanych gruzem
i pamięć – co wciąż wyrzuca na wierzch
straszne wspomnienia

W nich obce nazwy pobrzmiewają swojsko:
Katyń Dachau Birkenau
Łubianka –
wszystkiego już nie wymienisz –
Amaranty amaranty:
orzeł się zmienia w kulę z ołowiu
przeszywa serce i napęlnia czyjeś
dobre oczy płaczem

A żywi już za starzy lub jeszcze za młodzi
by się radować rocznicą niczyją –
Amaranty amaranty
jak rozdeptane krople krwi na twardym bruku
nie przypominane – zapomniane
starte na pył –
Zaorane wraz z kurzem
przez gąsienice pancernych rydwanów

DO HOIMARA VON DITFURTH

Zwracam się do ciebie z ziemi
gdziekolwiek teraz jesteś wspaniały człowieku
o greckiej posturze –
i jakkolwiek masz teraz postać

Chcę ci wyrazić mój szacunek za twą
skromną mądrość
która cię uchroniła przed nadętą pychą
olśnionych do utraty wzroku

ludzką wiedzą –
w której też miałeś niemały udział
Pragnę wyrazić podziw
dla twej odwagi wobec niedowiarków

poświadczonej wyznaniem:
J e s t e m w i e r z ą c y –
Wiele znaczą słowa takiego człowieka
jak ty

który nie zapał się w swym pysznym
otoczeniu
wiary w wszechmocny twórczy ponadludzki Rozum –
i który dostrzegł Go w przeogromnej

różnorodności
żywych i nieżywionych form
materii

Było w tobie Hoimarze
coś z Sokratesa i z Platona –
coś warte więcej niż jednego wiersza
od nieznanego poety

Lecz niech choć ten
odda hołd tobie gdziekolwiek jesteś
w pełni świadomy siebie –
niezawiedziony w swej odważnej wierze

SPOTKANIA Z MATKĄ

Moja od dawna nieobecna matka
ma zwyczaj zaskakiwać mnie –
ukazując się nagle od czasu do czasu
na szarym tle domowych zajęć

Porzuca je – i obejmując moją
małą siostrę
cierpiącą na ból zęba –
tworzy wraz z nią coś na kształt grupy Laokoona

Jej macierzyństwo jest równie bezradne
teraz jak kiedyś – gdy mówi:
Chciałabym cierpieć za ciebie dziecko –
i obie płaczą

Cóż za scena: orkiestra bólu
w widmowej jamie ustnej
mojej od lat już nieżyjącej siostry –
i ta – wciąż żywa matczyna troska

Ów obraz macierzyństwa nigdy nie trwa długo –
Zanim nasycę nim wzrok
cichnie i znika –
a ja za każdym razem pytam

choć przecież znam odpowiedź:
Co chciałaś mi powiedzieć moja matko
tym razem – Co chciałaś mi powiedzieć –
Dal milczy głucho

ZIMOWA FANTAZJA

Są miejsca i chwile
przeznaczone tylko dla samotnych –
Nawet najcichsze ujadanie sfory
natychmiast burzy je
bezpowrotnie

Pamiętam – w jedną z takich pór
wezwany przez mroźną zimową noc
przywiązałem narty –
i sam nie wiedząc po co i ku czemu
ruszyłem w drogę przez ciche
zaśnieżone pola

najzupełniej samotny –
I chociaż dobrze czułem dookolną kruchość
mknąłem skroś niej póki pod nartami
nie urwała się nagle stromym
cieniem ziemia

O – co za skok –
I już wiedziałem po co wezwała mnie ta noc
z chwilą – gdy zaprosiła mnie do tańca
na balu gwiazd – najjaśniejsza z nich
srebrnooka –
najbardziej moja gwiazda

W PRZEKROJU EPOK

Wszystko niezbędne jest człowiekowi
aby przyspieszyć jego dojrzewanie
w mgnieniu życia

Przyda się jako zaczyn
zarówno cnota jak i rozwiązłość
pokój i wojna

I pożyteczne będą w równej mierze
róża i cierń –
zabawa i modlitwa

Szybko dojrzewa się w chorobie
i w zdrowiu też nie wolniej –
Pomocna bywa rozkosz na przemian z cierpieniem

kłamstwo i prawda –
i co tylko najlepsze i najgorsze
póki się całkiem nie wypali

zło w człowieku –
Bo właśnie tak po zbrodniach i po chlubnych czynach
wciąż wspina się po stopniach epok

bluźniąc i skamląc
ludzka niedoskonałość – póki nie osiągnie
palmy i krzyża i Golgoty

I nie obumrze jak grochowina
aby lupiny oddać szczypcie ziemi –
a Bogu – już dojrzałe – ziarno

DO PORANKU

Są zjawiska i stany promiennej materii
które się pojawiają tylko
o wschodzie słońca –
kiedy pogoda raczy sprzyjać światu

Nigdy nie trwają dłużej niż
poranna rosa na murawie –
niż cisza zawieszona w przymglonych ogrodach
między brzaskiem a świtem

Tyle razy zwracałem się do ciebie
poranku z pytaniem:
Co chcesz mi powiedzieć na progu dnia –
czując za każdym razem drżące w tobie słowo

Lecz nigdy nie zdążyłeś z wieścią –
Zawsze zbyt krótko w twym imieniu śpiewał
ptak – szeptały drzewa –
Zawsze zbyt prędko ciszę dzień zagłuszał gwarem

I dziś tak samo – Znowu trzeba będzie
cierpliwie poczekać na nową
okazję – aby
powtórzyć swoje dawne pytanie

i znów – jak zwykle – nie otrzymać na nie
pełnej odpowiedzi

WYMUSZONA DOROSŁOŚĆ

Szum wiatru w trawie
rozczesany na głosy gdzieś u widnokregu –
ociekające miodem złote
łubinowe pola –
i w zakistej sadzawce
tysiąc plus jedna wróżb do spełnienia

Do tego jeszcze:
słońce obłoki siarczysta ulewa
taniec dziewanny na pagórku –
i w rdzeniu ciszy na tle pogodnego nieba
szczebiot skowronka
niczym mszalne dzwoneczki w kaplicy

I pomyśleć – że to się
wszystko razem złożyło na moje dzieciństwo
w spokojnym czasie –
aby się rozwiać jak garstka pyłu
z chwilą gdy trzeba było dziecku
dorosnąć niemal nagle

– na oślepe
z strasznym widokiem w porażonym wzroku –
i iść z nim dalej w przyszłość – nie-przyszłość
jak z już na zawsze
wyrytym krwawym dłutem w duszy
wciąż niepojętym obrazem grozy

BEZ ZDZIWIENIA

Już nie budzi zdziwienia – że dziś
obawa może poprzedzać pytanie
o to – co by obecnie opisywał Dante
rzeźbił Michał Anioł – malował
Rafael

Już nie dziwi lęk z którym by musiała
zmierzyć się teraźniejszość – aby
spokojnie i bez wstydu przejrzeć się
w czystym lustrze przeszłości
tak – by nie skłamać

Na to dzisiejsza rzeczywistość
nigdy się nie odważy – czując pośród mroku
jaką ma twarz i co przez nią wyziera
budząc tak wielki wstręt
że mógłby nawet zabić

Nie łatwo przejrzeć się łotrowi
spod ciemnej gwiazdy
w swym niewinnym dzieciństwie
popatrzeć na swe krwią zbrukane ręce
dostrzec w swym wzroku płamę sumienia

Któryż poeta się odważy
ukręcić bicz ze słów
aby nim schlastać taką rzeczywistość –
Kto namaluje obraz obrzydliwej twarzy
wyrzeźbi podłe ślepie

Tylko myszy skrobią w ciemności
i wilcze stado pod niebem bez gwiazd
zarzyna w niej proroka –
I już nie budzi w nikim żadnego zdziwienia
to – że obawa poprzedza pytanie

PO OPERACJI

Wszędzie biel z której
ulatnia się wszechmogący głos –
Czuć go eterem kiedy zwiastuje że:
Operacja udała się

Lecz ja – jak każde nic
które nie zmarło
gdyż nigdy nie narodziło się –
pomimo usiłowań

nie mogę pojąć tego obrazu
zawieszonego w próżni na którym wciąż
przekwitają niewidoczne
magnolie – Dlaczego magnolie

Na próżno staram się dostrzec
czy to ich jedwabiste płatki
przykrywają tak lekko
mój grób czy życie: gdyż raz jest tak – raz nie

Biel woła – Jej głos rozsadza chyba
wszystkie sklepienia świata:
Już wszystko dobrze – wszystko dobrze –
Ma rację – mnie nie ma

Na szpitalnym łóżku leży mój sen –
Nic go nie boli

MANDRAGORA

W zapadającym zmierzchu
raptem rozlega się nagły głos
jakby przedsenny klakson ptaka:
Wejdźcie w ognisko

Na stertę mroku padają naraz
jak drżące cienie dwie postaci –
i nagle płomieniejąc
ciskają łunę na ciemny firmament

Miękko przylega obłe wzgórze do doliny
i słyhać jak się w drzewnych słojach epok
gwałtownie pieni krew –
gdy cienie razem wstępują w żar

topnieją –
i zlane w jedną ognistą bryłę
eksplodują gdzieś poza czasem i przestrzenią
aby wśród wtórnej ciszy

okrzepnąć w wspólne czułe słońce –
Nastaje nowy dzień – pusta szpalta
na której wyskakuje jedno zagadkowe
słowo – drukiem: m a n d r a g o r a

SKARŻYPYTOM

Jeśli koniecznie ktoś się chce poskarżyć
Stwórcy na świat lub na bliźnich
wystarczy mu tylko
poskarżyć się na samego siebie

Będzie oszczędniej –
a On – Salomon do potęgi entej
nieograniczonej
i tak wie dobrze co – i komu

OBCOŚĆ

Nieznajomy idzie przez miasto
Gdybyś mógł zobaczyć
co on naprawdę niesie w swej głowie – w swym sercu
Bo to co widzisz zwyczajnym wzrokiem:
teczkę binokle
kapelusz z szerokim rondem –
to są nic nie znaczące chwilowe atrapy:
tusze na zastrzeżone przez niego
sekrety

Przejdzie obok ciebie
zupełnie obcy –
być może kryjąc w sobie odpowiedź
na wszystkie twoje dręczące pytania
które ty sam
powstrzymasz – więzień konwenansu
krępującej formy –
Zaledwie błysnie przypuszczenie – że on może
też chciałby poznać ciebie

Niewielu ma odwagę
zbliżyć się
do tajemnicy nieznajomych – którzy
bezustannie idą przez miasto –
I mimo że okazja często nadarza się
nadal dalecy i sobie obcy
mijając się udają
desintereselement – chłodną obojętność –
Wiele zgubionych rzeczy zaściela ulice

NIE SKĄP

Chociaż wiadomo że za każde
uderzenie serca
za każdy oddech płaci się życiem
nigdy go nie skąp – trwoń je

Zostaw dla siebie tylko jedną chwilę
na generalne rozliczenie
po którym – jeśli zysk się z stratą zgodzi –
to może wtedy

wystarczy nawet ta jedna
zaoszczędzona z życia chwila
pozbawiona dóbr –
na rozpoznanie w tym miejscu lichym

Boga w cierpiącym opodal człowieku
wraz z tym – co w parze idzie – swego przeznaczenia
na danym ci w pacht
niewielkim skrawku jałowej ziemi

ABY POSIAŚĆ ZIEMIĘ

Jeśli ktoś z ludzi chciałby posiąść całą ziemię
choćby na chwilę –
musiałby najpierw od niej się oddalić
na długość jej cienia – i
swego życia

I jeszcze:
odłączyć wszystkie zmysły –
Niech wzrok spogląda osobno z wzgórza
słuch podsłuchuje przez szczelinę w chmurze
węch niucha z mchu

A on ukryty za najdalszą gwiazdą
nieobecny – i bez wpływu na nic –
niech tylko biernie czeka na
spełnienie swych pragnień za cenę
dożywotniego odosobnienia

Dlaczego właśnie tak – odpowiedź prosta:
Cały człowiek
choć tego nie dostrzega – jest zbyt okazały –
Spłoszyłby swym ogromem
nie tylko pył czy kamień

nie tylko dziką świnie drzewo –
On w swej ukrytej do czasu istocie
spłoszyłby znacznie więcej niż ziemię –
jeśliby nie był
w tej swojej jakże prostodusznej

bezwiednej potędze
ograniczony śmiercią –
To właśnie ona wszystko mu odbierze
i wszystko zwróci – cokolwiek z ziemi
nie płosząc nic – uszczknęły – odłączone zmysły

ROZMOWA W OBŁOKACH

Gdy się oddalasz – ginę
kiedy się zbliżasz – znowu rozbrzmiewam
grzmiotem organów – szczebiotem jaskółek –
Rozchybotany lot mój ponad wzniesieniami
wielbiących wzruszeń

Kościół na przemian upada – znów
podnosi –
W tej samej chwili schodzę do katakumb
– miserere –
i wzlatuję w niebo

O – jakież zawrót głowy
gdy czuję w sobie naraz pragnienie pustyni
padlinę – sępy –
i spływające z lodowych gór
potoki

Proszę: Przystań na chwilę w jakimś
zacisznym miejscu – nie bądź niecierpliwym
koneserem sztuki
oceniającym dzieło raz z bliżej raz z dalej –
Popatrz na całość – pomiń szczegóły

Ty – który równocześnie
wszystkie zdarzenia i światy obracasz
w prochy – w daremny pokój i daremną wojnę –
by je natychmiast odtworzyć w stokroć
doskonalszej formie

– proszę: Zaprzestań – odpocznijmy –
Bądź twa niedziela

POWIEŚĆ I ŻYCIE

Selkirk – lekkomyślny młodzieniec
oddany bezludnej wyspie
przez rozgniewany żywioł zły los i przygodę –
Dzisiaj już tylko na pożółkłych stronach
przypomnianej książki

Selkirk samotny
jako Robinson Cruzoe
z powieści Daniela Defoe –
Selkirk narzekający chociaż tylko jemu
udało się ujść z życiem

Piękna wyspa – jak
niemowlęce marzenie Rousseau –
Ciepła glazura plaży – owocowanie zieleni
tęczowe wloty rajskich ptaków – i on
nieszczęśliwy

A teraz – tutaj
tak wielu którzy zazdroszczą mu
zatruci oparami współczesnej cywilizacji
w której samotność dotkliwsza niż tam
nieporównanie więcej niebezpieczeństw –
i gdzie na zawsze wyszło źródło
pierwotnej ciszy

Doprawdy wielu
chciałoby przeżyć twoją przygodę
Selkirku:
zaszyć się bezpowrotnie na twej wyspie
naprawdę żyć –
A jeśli wypatrywać ponad horyzontem
to tylko pogodnego nieba

Szkoda Selkirku że dzisiaj już nie ma
podobnych wysp –
Kiedyś czytając w chłopięcym wieku
powieść o tobie bałem się ich – lecz dziś – postarzały
wciąż za nimi tęsknię –
Żegnaj Selkirku lub wpłyn w mój sen

LABIRYNT

Wielkie to szczęście że z chwilą gdy
pełen nadziei –
przekroczyłem przed laty
kuszące wrota świata dorosłych

niespostrzeżenie przycupnęło przy nich
moje – przeze mnie porzucone
bez odrobiny żalu
dzieciństwo

Nawet go wtedy nie pożegnałem
tłocząc się w hałaśliwym miejscu –
Nie poświęciłem mu choćby jednego
serdecznego słowa

Wspomniałem o nim dopiero gdy
krążąc bezradnie po labiryncie świata dorosłych
zupełnie w nim się – mrocznym – pogubiłem

Wspomniałem o nim jak o słońcu
i jak o prostej ścieżce
na wskroś szeroko otwartej przestrzeni –
jak o domu

i jak o dawno zmarłym –
Ale to ono w chwili – kiedy już miałem paść
z wyczerpania i głodu – nagle
ukazało się moim obłąkanym

oczom jak żywe – i to ono
wywiodło mnie z tego
straszego labiryntu – jak się okazało
przez cały czas związane ze mną

złotą nitką
wysnutą z jego wiernego serca –
O ileż wstydu
że o nim czekającym na mnie u wrót

zapomniałem –
Ile wdzięczności dłoń
za to że znowu o nim pamiętam –
niańczę je w sobie

PRZEMIENIENIE

W największym napięciu
urody świata –
gdy piękno całkiem odwraca oczy
od ginącego ciała
umiera się w zachwycie bez lęku i żalu

Bez żalu – bo cóż jeszcze więcej
można by otrzymać –
Bez lęku – bo jak można by mu ulec
całkiem pokonanemu w zmysłach i w naturze
zdumiewającą urodą świata

Cudowne przemienienie:
– oto posiadłszy wszystkie skarby ziemi
dłoń i świadomość pustoszeje
po to by przyjąć o wiele więcej
(nieskończenie) – niż można sobie wyobrazić

Kto szeptem podpowiada:
Ucałuj glebę gdyż w proch cię oblekła –
Ucałuj progi – tam matka stała –
Ucałuj słońce gwiazdy – skąd światłość opadła –
Ucałuj mroki – tkają sny

jak kolorowe pajęczyny –
Życie skończyło się
życie rozpoczęło się –
Jego obfitość w naturze przepelnia
słodczą kielich dawnej gorczy

NA PUSTEJ DRODZE

Zostawić siebie
na którejś pustej drodze
w nieruchomej bezwietrznej przestrzeni –
Zmaleć po niewidoczność do rozmiarów ptaka
zanurzonego w błękitnej otchłani

Być radosnym śpiewem
słonecznego promienia – ciszą głuchej nocy –
liściem z którego powiew otrząsa
kroplę goryczy – kruchy osad pyłu –
Być drzeniem kryształu

Czekać na siebie – równocześnie
uwalniając z dłoni
sznur od latawca – Śledzić
jego swobodny karkołomny lot
pod rosnącą chmurą – i jego upadek

Powrócić w siebie –
Uczynić dalszy niepewny krok
na którejś pustej zaniedbanej drodze
w nieznanym kierunku –
Ciągnąć pod wiatr i górę ciężkie brzemię losu:

winę i karę za niechciane grzechy –
Wierzyć w odkupienie

TAK

Tak – właśnie tak:

Stwórca nie tworzy nagle lecz ciągle –

Zaczął najprościej i rozwija w czasie

napełniając przestrzeń

Z każdą chwilą przybywa barw kształtu i dźwięku –

i żywe nie jest żywym ani martwe martwym

cokolwiek wyszło z Niego

I nie ma innej wyobraźni w świecie

która by mogła objąć bogactwo

końca – kiedy połączy się w Nim z początkiem

w wieczną orbitę dokonanych przemian

by trwać na zawsze tylko w Jego

nie przedawnionej nigdy pamięci

poza pustą przestrzenią – zatrzymanym czasem

ODTWARZANIE PRA-GŁOSU

Aby na powrót zlały się w jedno
wszystkie w przestrzeni rozproszone dźwięki:
lwi ryk – jęk dzwonu – szmer liści
i wiele innych – jak:
cmokanie deszczu stuk promienia
szelest szelestu –
trzeba by przedtem w czulej pojedynczej strunie
zestroić razem wszystkie brzmienia

Uczyń to teraz nim minie chwila –
ta wyjątkowa chwila
bez próżnej wesołości – niepokoju
żalu – gniewu

Niech wszystkie tony spłyną naraz
z wszystkich stron do wzruszonej aż do spodu duszy
jednolitą symfonią
kosmosu
– Niech – z rozmodlonej o poranku ziemi
do przedwiecznego źródła pra-głosu

LAS ZIMĄ

Zamarzył ostatni jesienny deszcz
i zamknął już gotowy do letargu
las – obdarty z liści
w ogromnym – przezroczystym
kryształe mrozu

Są z nim tam razem: blade pasemko
nieba – skrawek zimnego słońca
bańka powietrza – kropla ściętej wody –
Jest również olbrzymi księżyc
w mnogiej asyście wytrzeszczonych gwiazd

Głucho milczy ten kryształ z zamkniętym w nim lasem
lecz – jeśli go potrącić
choćby nieznacznie – cicho zadźwięczy:
jakby z bieguna ziemi doleci zeń –
i jak z pozytywki

krakanie samotnego kruka –
i ledwo dosłyszalny szmer
osypujących się z konarów śnieżyn
– poświst wiatru
nikły szczebiot sikorki

Tylko tak – w stanie hibernacji
może las przetrwać zimę –
doczekać się nowej wiosny – która
uwolni go z tej niby kryształowej trumny
by mógł się znowu zazielenić

Przechodząc blisko zimowego lasu
trzeba bardzo uważać – lekko stawiać kroki
tłumić rozmowę – Tyle dopowiem:
kruche są – kryształ i gałązki –
śmiertelne drzewa

ALLELUJA – JUDYTO –

Miałem piętnaście lat
gdy po raz pierwszy przeczytałem
Księgę Judyty –
i zobaczyłem na płótnie Cranacha
ją – piękną – trzymającą odrąbaną mieczem
– jej mieczem i jej ręką –
straszłą głowę Holofernesa

Dzisiaj – po latach
dokładnie przypominam sobie mój
odruchowy gest i okrzyk:
Nie – Judyto –
jakbym chciał cofnąć tamtą dawną chwilę
i tknięty odrazą
wstrzymać jej dłoń

Jak mogła – czemu ją chwala –
Dopiero rychły najazd „nadmudzi” z sąsiedztwa
radycznie uwolnił mnie od tych
natrętnych pytań –
Na tle totalnej zbrodni – tamta
zajaśniała przedziwnym blaskiem poświęcenia
i kary bożej

za napaść pychę – niewieścią ręką
– Nie myli się Kościół mój –
Lecz ja zapewne myliłem się prosząc
niebo o drugą Judytę – która
zabiłaby fuhrera –
Inne nastąpiły czasy – i gdzie indziej wina
gdzie indziej kara – najwyższe wyroki

A ty mi wybacz mężna Judyto
z dystansu wieków – z domu Pana
ten mój młodzieńczy nierozsądny protest –
Dawno już zrozumiałem dlaczego cię chwala
i to –
że twa pozornie straszna zbrodnia
jak kwiatem zranić – całkiem niewinna

PRZEPOWIEDNIE FILMY

Coraz to bardziej ciąży ludzkości
skryte przeczucie –
i coraz częściej nasuwa się
niepokojne pytanie

o to co będzie – gdy
nagle o szarym świecie
rozpocznie się inwazja na uśpioną ziemię
przybyszy z obcych nieznaných planet

Kim się okażą – dobrzy czy źli
mądrzejsi od nas –
o wiele więcej niżli my wiedzący
prymitywniejsi w czymś

Póki co krążą tylko filmy
science fiction –
jak niegdyś zapowiednie powieści Vernego
które rychło potwierdziła przyszłość

I na razie po
obejrzeniu jednego z nich
pewien małolat schował się pod łóżko –
ale jutro kto wie

– kto wie –
czy o szarym świecie nie spełnią się
te coraz bardziej nieprawdopodobne
a zatem bliższe prawdzie filmy

– Kto wie –

MAŁA WIELKOŚĆ

Jeżeli jest gdzieś odpowiednia miara
to ten ptak – nieduży
organ żywego głosu
na zawsze pozostanie wielki

Tylko on jeden w szaleństwie krwawej
bitwy – toczonej na wiosennym łonie
natury – przez rodzaj h o m o
nie postradał zmysłów

W dole zgiełk zamęt –
wykrzywione wściekłością ludzkie nieludzkie
twarze –
huk dym płomień – trup ściele się gęsto

I nad tym polem nienawiści
on – skowronek
jak gdyby nigdy nic
(wyobraź sobie) śpiewa radosną piosenkę:

swój srebrzysty hymn na cześć
zapomnianego przez człowieka Boga –
Różni dostali po bitwie
ordery za męstwo

Ale w pamięci prawych
i sprawiedliwych – jedynie on –
skrzydlaty patron krwią zbrukanej ziemi
na zawsze pozostanie prawdziwym zwycięzcą

KSIEŻYCOWE RADY

Są rany jak kratery
po gwałtownej erupcji dotąd uspiętego
wulkanu – których by lepiej nie
zasklepić –
Nie ropa w nich lecz czarna asfaltowa smoła
przydatna na nawierzchnię
najprostrzej dogi wiodącej do celu –
Pomyśl o tym – zanim
opatrzysz ranę

Są również kwiaty których by lepiej
nigdy nie zrywać –
Nieraz je spotykałeś byle gdzie – pod płotem
albo w podobnie lichym miejscu –
Niektóre z nich – wonne i piękne
na ulistnionych pędach – miękko płożące się
wokół bosych stóp –
skutecznie powstrzymują kroki
a gdy zerwane – poparzą dłonie

Nie warto śledzić po nocy gwiazd
nawet gdy z cienia mrugają zalotnie –
i ślą po rosie drżące promyki
jak czułe włosy dziewic –
Spojrzysz – pokochasz jedną – a ona jak osa
wbije ci w serce jadowite żądło
okrutna córka Tanatosa –
Jeżeli już koniecznie masz uważać na coś
to patrz pod nogi

O – nigdy człowieku
jeżeli wyjdiesz cało z tych wszystkich opresji
nie patrz za siebie –
gdyż mógłbyś zbudzić wiatrowęza
co śni wciąż w trawie (fałszywej) zdradę
o czym opowiem ci już innym razem
tak jak dziś – po drodze –
Żegnając dam ci radę:
nigdy nie podchodź blisko do pajęczej sieci

W WĘŻLE CZASU

W te najsurowsze zimy
które akurat dziwnym zrzędzeniem
losu – przypadły na czas
śmiertelnych zmagania pomiędzy frontami

i ku którym co noc zdążali
zbrojni ludzie jak wilki –
tu przyleciały stamtąd kolorowe ptaszki
niezwykle ufne – i obsiadły drzewa

I gdy tam z ruin z ciał – pokładów lodu
wydobywał się jęk –
i płatki śniegu przykrywały
wrzącą na mrozie jeszcze żywą krew

tu – na pociechę zniewolonym ludziom
jakby na mgnienie otwarło się
pogodne niebo –
Skostniałe drzewa niczym choinki

przystrojone ptaszkami
pośród strwożonych głodnych zatroskanych gniewnych
jak nieomal cud –
znów jak przed wojną betlejemska noc

Śniło się tylko – czy oczy naprawdę
i tu i tam
widziały to samo –
co może widzieć tylko dusza

udręczona przez życie – albo
wyzwolona przez śmierć –

PIERWSZY POCAŁUNEK

Inne to były czasy:
oboje młodzi – prawie dzieci
po równo zaskoczeni tym – co się
pomiędzy nimi stało – i nieomal że – jak
przed sakramentem
przed pierwszym pocałunkiem

O jak prześlicznie zawstydzona
nieśmiała czułość – gdy im wiosenny wiatr
podpowiadał:
Jeszcze przez chwilę poczekajcie na
słowika – szczęście będzie większe

Jeszcze na księżyc – by ukoronował
śniące miłość głowy –
Jeszcze na drzewa – aby szumem
wzmogły czar – I tylko do niej: Zamknij
oczy – Tylko do niego:

To twoja róża –
Pocałuj mocno – a my – wiatry
zerwiemy słodycz z waszych warg
by ją na zawsze powierzyć tej nocy
nigdy niezapomnianej – nim rozbłyśnie świt

I nie wiadomo było co jest:
jawa czy baśń
– W powodzi mrocznych zdarzeń utonęła chwila –
nastaly nowe czasy
w które skapnęła – ciężka jak ziemia – łza

W ZIMNYCH ŚCIANACH

Zimno tu
jak na stare kości – których młodzieńcza krew
od dawna już nie rozgrzewa

Bardzo zimno –
A jednak pod oszronionym
sufitem – wokół elektrycznego

pędu – z kwiatem żarówki
nieustannie krążą kolorowe wiersze
przebrane za motyle i ćmy

Trudno uwierzyć że wypoczwarzone
w zamarznętej
głowie – pieczarze jaskiniowych snów

Zimno tu – mroźno – lecz mimo to
pod ścianami z lodu
wspaniale kwitną egzotyczne kwiaty

i doprawdy nie łatwo byłoby uwierzyć
że weszły dopiero co
z zamarznętej bryły czyjegoś serca

wysiane z dłoni-kry
w pośrodku zimy o bladym świetle –
Bardzo zimno tu

I MNIE DZIŚ TAK

Któż wie dlaczego w zgiełku
bieżących spraw do załatwienia –
nagle ni stąd ni zowąd komuś się przypomni
zdawałoby się że już na zawsze
zapomniany – jakiś epizod
z odległej przeszłości

I mnie dziś tak –
całkiem znienacka się przypomniała
pewna żebracza postać –
Z mgły czasu raptem wychynęło
pocziwe
i jakby już za życia wniebowzięte

oblicze nędzarza –
I znów ujrzałem jego roześmiane oczy
gdy mnie zapewniał – mówiąc łagodnym
głosem: Mam wszystko co potrzeba:
słońce powietrze – jałmużniczą kromkę
chleba – wodę

I znowu czynił szeroki gest
s o b i e- p a n – sprawiając
że wszystkie wokół c z y j e ś ogrody
przeobrażały się w cmentarze –
i wszystkie c z y j e ś zbytkowne pałace
w już ostatecznie zapomniane

mogily –
Ukazał mi to i znikł –
Jeszcze tylko przez chwilę w lśniącym blacie biurka
obarczonego stosem pilnych spraw
do załatwienia – trzepotał się jego
łagodny uśmiech jak rajski ptak

O KOSMICZNYM PĘDZIE

To pęd niepowstrzymany
w którym się światy odłamują
w bezkresnym kręgu matowego światła
od przestrzeni –
i mknąc przed siebie zbitą masą
bez nazwy kształtu brzmienia koloru
prószą skrzącym popiołem zdmuchniętych galaktyk
w struchlałe oczy

Niepotrzebnie zaciskacie się
powieki –
Niepotrzebnie osłaniacie dłonie
przeżalone oblicza –
Ta masa tuż przed wami nagle się rozprysnie
tęczą –
Oto już przeleciały
lądy i morza – niebo i ziemia

W rozsypce przeleciała mosiężna orkiestra
jaskrawych dźwięków –
Z pośpiechem pełnym bezgranicznej grozy
jako pył czasu przemknęły miasta –
i jeszcze tylko w miejscu bez imienia
tkwi obłąkana myśl
jak żywy atom – wciąż jeszcze niepewna
siebie – ani początku – ani końca dziejów

Czy rzeczywiście jedynie ona
ostała się – gdy wszechświat przeminął –
pęd ustał – i już nic więcej
na jego gruzach jak na smętnej
ciszy – nie poruszy się –
Nieprawda – wciąż przecież czuję że również ją samą
pociąga jakiś potężny magnes –
niewidoczna przyczyna i ośrodek

wieczystego ruchu
przed którym mimo woli przyklęka –
i nie znając go
nie z samej siebie – ale z głębi serca
pędząc razem z gwiazdami obłokami ziemią –
napół świadomie szepce doń: Życie:
moje życie –
M o j e z y c i e w N i m

ARIA W KUCHNI

Z popołudniowej drzemki
zbudził mnie szczełk kuchennych naczyń –
Przespałem burzę – i ponownie jest
pogodne okno
z tańczącą w wietrze gałązką forsycji

Z kuchni rozlewa się słodki zapach
– nasłuchuję przez chwilę –
O bez wątpienia zgromadziły się w niej
– i rajcują
kobiety z całego świata

również feministki –
i te co jeszcze tak niedawno temu
w grubym brulionie pisywały
liryczne wiersze –
a dziś w tym samym z skrętnym przejęciem notują

gastronomiczne receptury
Mile brzmią żeńskie głosy –
Dziwi – jak żargon kuchenny pozwala
porozumiewać się damom –
Włączyły radio – tenor śpiewa:

L a d o n n a e m o b i l e –
Raptowny krzyk: Przypaliło się ciasto
– gorzkawy swąd wsącza się w pokoje –
i niemal słychać jak niewiasty
załamują ręce

zanim wybuchną beztroskim śmiechem –
i zagłuszą nim nieśmiertelną arię
z R i g o l e t t a
– I nim przez uchylone do wietrzenia okno
wleci wraz z wiatrem motyl

Tyle nam z uczyty pozostało
gosposiu moja

NIE DO OPISANIA

Ani jednego obłoku:

– poranna ziemia dzień jasny wiatr bystry –
Prężne wierzchołki drzew na próżno
usiłują opisać
pustynne niebo

Nie ma w nim nic do opisania – nic –
Przemknęły dwa gołębie – utraciły temat
– Bo jak opisać rozcieńczony
wiekuisty błękit –
n i e m y w y r a z

obleczony w ciszę
nigdy nie usłyszany chociaż wyczuwalny
– Zawieszony w nim słoneczny pył
jest tylko pyłem słońca –
i nie można go użyć do opisu nieba

Wypada mi zatem poddać się
złamać bezradne pióro –
i z rezygnacją zanurzyć się w owym
beztreściwym błękitcie tak jak słońce gwiazdy –
by go choć trochę wypełnić sobą

A to nawet przyjemne
mimo że całkiem nieczytelne

POCHWAŁA WODY

Bądź pochwalona wodo
w swojej potrójnej widzialnej postaci –
Nie sprostą tobie żadna inna ciecz
znana na ziemi

Tylko ty jedna szeroko rozlana
na jej powierzchni stale krążysz
życiodajnym obrotem między nią a niebem
chrzcząca i poświęcona

Wdzięczna ci dłoń co w swym stuleniu
podaje ciębie spragnionym ustom –
Urzeczony spójrzanie zorzą i obłokiem –
ukołyszany słuch piosenką deszczu

O jak spokojnie w wieczornej mgle
zasypiają góry –
Jak ufnie budzą się w niej – porannej
ukryte ptaki

I tylko dzięki tobie
liczne poroża połączane słońcem
kłonią się zgodnie u wodopoju –
niebo się mieni tęczą w źródle

Cóż by się stało bez ciebie z życiem
na ziemi – co z radością bez łez –
Zatem – że jesteś w swojej potrójnej postaci
wodo

tak nadzwyczajna i tak bardzo zwykła
tak niezbędna –
bądź pochwalona w swojej potrójnej postaci
wczoraj i dziś – i jutro

SZKIEŁKO

Okruch szkła który nieoczekiwanie
uśmiechnął się do mnie
spod sterty śmieci – niczym czyjeś
promienne oko

jakież zaskoczenie –
I dopiero po dłuższej chwili
refleksja:
Nic nie jest znane do końca –
nic nie jest zwykłe

Zawsze zawodne są nasze szacunki
oceny i wybory –
Lecz czy koniecznie
musiałem się pokłonić

przed tym promiennym szkiełkiem – jak przed
jakimś nieznanym małym bóstwem ziemi –
i właściwie dlaczego – (Ach) na to wciąż nie mam
rozsądnej odpowiedzi

SPOJRZENIE DŻUNGLI

Niezawodna jest musztra spojrzeń
pierwotnej dżungli
w chwili – gdy skierowane raptownym impulsem
ogarną naraz ze wszystkich stron
dziewiczo rozpasanej zieleni
zbędną postać intruza

wszystkie jednakże czujne – nieżyczliwe
potępiające obcy ruch –
groźne lękliwe – oceniające
ukradkiem potencjalną zdobycz –
albo pozornie obojętne – lecz niemniej od
tamtych – złowrogie

Pod ich naporem pada w obrębie wielkich miast –
w stężonej woni wyrafinowanych
dyskretnie lśniących w mroku kwiatów
czyjeś wybrane na ten czas
anonimowe życie

Wszystkie spojrzenia przyczajone w gęstych
splotach konarów – w wnękach miast –
wszystkie zuwaczki szpony dzioby kły:
– zaledwie chwila –
intruz przepada – nikt nie wie gdzie

Nasycone spojrzenia
stają się senne – pod powiekami
całkiem podobne do matowych szkiełek –
i tak jak one – znów:
lękliwe łagodne – obojętne łagodne
nieżyczliwe i okrutne łagodne

– zupełnie jak dobrze ułożone
do polowań – psy

PRZECZUCIE TRWANIA

To niezwykle przeczucie jest jak szept
ewokujący pewność –
I już wiadomo dlaczego ktoś raptem
pragnie zamieszkać w spadłym żółkniejącym liściu
w wysychającej kropli wody –
w pyłe z sandałów

We wszystkim co jest słabe nikłe udręczone –
co wzgardzone – zziębnięte
półżywe –
Już wiadomo dlaczego bogacz
dzieli się opłatkiem
pomnaża chleby – zmienia wodę w wino

Czemu potężny władca odpasawszy oręż
przywdziewa łachman
i brata się z siermiężnym ludem –
Nagle objaśnia się prawdziwa moc
tkwiąca w słabości – i jej przeznaczenie
w nowym porządku wszechrzeczy

W wyczerpaniu tak wielkim że zło je pomija
lecz w którym nieoczekiwanie
budzi się wiara
wpierw jako iskra – wkrótce
wciąż podsycana wichrem serafickich skrzydeł
jakoby bujny wskrzeszający pożar

I w nim to właśnie – co dotychczas
było za ledwie mglistym przeczuciem
w człowieku śmierci –
zmienia się nagle w pewność zrozumienia
co choć zdumiona – już się niczemu
więcej nie dziwi – lecz tylko adoruje – sens

NA ULICY SKLEPÓW

Dziś nieoczekiwanie
zafascynowała mnie – od dawna znana mi
ulica sklepów –
Są takie w każdym liczącym się
mieście – Dlatego idąc jedną z nich
za każdym razem idzie się wszystkimi

Nachodziłem się każdą – ale dopiero dziś
o południu – gdy słońce
mocno nagrzało dzień – wzmacniając
doznania – spostrzegłem to co dotychczas
wciąż wymykało się mej uwadze
skupionej na czymś innym

Lecz dziś – obecny
na jednej z tych sklepowych ulic
nagle znalazłem się całkiem gdzie indziej –
Za każdym krokiem w coraz to innym
miejscu
ustroniu krajobrazie

Oto warzywne grzędy i o chwilę dalej
krowie obory – zaraz po nich sady
i nieco dalej zboża zioła
pasieki – Skąd to –
O nie wzrokiem wykryłem przyczynę –
Wytropił ją węż

wionącą z kolejno mijanych sklepów:
mięśnych warzywnych cukrowniczych
mlecznych – Z aptek i z piekarń –
To na obłokach sklepowych woni
jak na szczałkowym pyle pierwotnych zapachów
wciąż się unoszą ponad idącymi

ulicami świata
te obrazy natury – może bez znaczenia
gdy niezauważone –
lecz dzisiaj niczym objawienie
doznań dzieciństwa – uwięzionych
w wielkomijskich murach

OBIEŻYŚWIATOM

Zapewne nigdy dotąd
nie usłyszano aż tak przenikliwie
jak dziś – w porannej piosence kosa
podobnie serdecznego tonu
aprobaty

dla wszystkich społeczeństw obieżyświatów
którzy próżno szukając dla siebie stałego
miejsca na ziemi – wzniesli się ponad nią
aż tak wysoko – że oto teraz
coraz to mniejsi

świecąc plecami z płonących cirrusów
wciąż poszukując siedzib – podążają w gwiazdy
– Umilkł ptak – zgasła zorza
ziemię spowiły mgły i cienie –
Noc ich wchłonęła – dzień ich nie odzyska

Na to zbyt dawno – i
nie wiadomo gdzie przed nami stąd
odeszli – Jutro ten sam poranny ptak
opieje – tym razem nas – pospieszających ich
niepewnym tropem

O „MOICH” GNOSTYKACH

Pominę starożytnych –
oni nie mieli innej drogi

Pominę Meniego –
żył w czasach ciemnych w węzle różnych kultur

Pominę mistrza Eckharta
trochę z litości –

Lecz wciąż zostaje na pierwszym planie
niezwykła czwórka:

Blaise Pascal Emanuel Swedenborg
Jakub Bohme Joseph Anton Schneiderfranken

To oni czterej – choć na krótko
wstrząsnęli mną

I o każdym z nich mogę powiedzieć
jedno zdanie i jedno słowo –

O tobie Pascalu – żeś
rozmawiał z Panem – ale jednak

O tobie Swedenborgu
że widziałeś piekło i niebo – ale jednak

O tobie Bohme
że przytoczyłeś J e g o słowa – ale jednak

I o tobie Schneiderfrankenie
że grzałeś się przy J e g o ogniu – ale jednak

I te cztery j e d n a k razem wzięte
okazały się po zważeniu cięższe

od czterech zdań
które powiedziałem o was

Lecz przed Obliczem pańskim – być może
okazą się lżejsze niż wyschnięty wiór

ZAKOCHANA ZIEMIA

Piękna jest ziemia w ramionach słońca –
Różami zakwitają
sutki wzgórz
ponętnie rozchylają się usta wąwozów –
i miły dzień
blaskiem powleka oczy jej

Miłosny szept stłumiony w zieleni:
Pieść mnie pieść – wprawia wiatr w czułe drżenia –
Świat jest daleko – i nie śmie śpiewać ptak póki
nasycona rozkoszą ziemia
nie padnie w zmierzch –
unosząc z przybrzeżnych pian

stygający cypel ku odchodzącemu
kochankowi
niczym serdeczny palec do ucałowania –
gdy woła doń: Porankiem mi wróć
– i znika w nocy – by śnić do rana
gorejący dzień

GROTESKA

Jedna strona oblicza piękna – ślad uśmiechu
Unosi się nad nią wonny wiatr –
podczas gdy druga
w rozkładzie już – i cuchnie

Jedna połowa mnie
żyje – przepływa przez nią wartki potok myśli –
Na drugiej – bezbolesnej
jałowa ziemia porasta pleśnią

Jedna źrenica – żwawa
żywo odbija światło dnia – a w nocy
chłodno – jak wystawowa szyba
spogląda w ciemność spoza kraty rzęs

Zamiast drugiego oka jest tylko oczodół
niczym wyziębły krater niegdyś
czynnego wulkanu –
Patrzy martwo w głąb siebie

Żywa ręka mocno spojona
bratnim uściskiem z kością obumarłej –
I tak idziemy mną przez życie – gdy
jedna stopa wciąż tańczy a druga – utyka

AKT STRZELISTY

Oto my – szeleszczące płomyki
rośniemy w głuchą i bezwietrzną górę –
płoniemy cicho jak westchnienie

Ty jesteś naszym tlenem
i będziesz również nim po drugiej stronie
bytu – gdy pogaśniemy już na zawsze tutaj

aby zapłonąć zorzą
czysto – bez dymu
na wieki wieków tam gdzie królujesz –

My twoje błędne po nocy świetliki:
pożar za drżącą smugą cienia –
Zgaś nas – i roznieć znowu

MIASTO

Wielu rękoma podparto to miasto
by nie runęło podczas gniewnego
trzęsienia ziemi

Z tłumu serc przetoczono w nie krew i nadzieję
gdy omdlewało w grozie bitew
porozrywane pociskami w strzepy

Łez strumieniami zgaszono pożar
który pustoszył je od wnętrza
i bezlitośnie smagał z zewnątrz płomieniami

Różaniec jęków wzbił się wraz z dymem
z mrocznych podziemi w oczadziałe niebo –
Opadło przygniotło

Deszcz zwilżył gruzy
słońce wysssało trupią z mrocznych piwnic wilgoć –
i trwa to miasto

jakby koszmary sen w zapomnieniu –
I nie wiadomo czego mu zabrakło
lub czego było w nim za wiele

ROMANCA

Kim jesteś kawalerze –
Powiedz – bo nie wiem czemu me serce
mocniej uderza
– W przebraniu kominiarza przybywam do ciebie
aby ci wręczyć aksamitną różę
z jeszcze gorących płatków sadzy

Kim jesteś kawalerze –
Powiedz – bo nie wiem czemu me serce
mocniej uderza
– W przebraniu wojownika przybywam do ciebie
aby powierzyć twej łaskawej pieczy
me chlubne rany i ordery

Kim jesteś kawalerze –
Powiedz – bo nie wiem czemu me srce
mocniej uderza
– W przebraniu zakonnika przybywam do ciebie
aby ci oddać w dożywotnie lenno
mych grzesznych pragnień krzyż i brewiarz

Kim jesteś kawalerze –
Powiedz – bo nie wiem czemu me serce
mocniej uderza
– Bez maski i przebrania przybywam do ciebie
by ofiarować ci – ufny w twą dobroć
moją dozgonną szczerą miłość

O MUZIE POEZJI

Lepiej nie wprzegać poezji
do wojennych rydwanów ani do orszaków
błyskotliwych iluzji –
Czyż nie wystarczy sama obecność

Pozostawiona sobie
jest wzruszająco szczerą i oryginalną
dyskretnie współczującą – wciąż pomiędzy
tu i tam – niegdyś i teraz

Wolna – swobodnie skupia swój wzrok
na ziemi i na niebie –
i jeszcze na czymś w niedościgłej dali
tam – gdzie cmentarze gwiazd

Jeśli naprawdę od niej zależy
za każdym razem przyływ i odpływ natchnienia –
jak od księżyca pośród nocy
płynna chwiejba wód

to niechże sama znajduje i zbiera
co najcenniejsze dla poety –
i opowiada o tym co i gdzie widziała
bez kłamstwa i przesady

Bo uwolnionej z banalnych więzi
zbędny jest fałsz – i poza tym –
któż o tym nie wie: nie ma – i nigdy nie było
szczerzej niż ona w gronie płochych muz

A TO JUŻ –

A to już była jesień –
Ptaki szukały na polach
zgubionych przez żniwiarzy ziarn

z drzew opadały pożółkłe liście
stygły zapawy –
Słońce z każdym dniem niżej

I tylko z niewymiernej odległości
wspomnień – wciąż jeszcze docierał do serc
stłumiony dałą słowiczy śpiew

We mgle i ciszy rodził się
smutek – pokarm poetów –
Przekwitała ostatnia różyczka w ogrodzie

Wiatr zaczął grać na klawikordzie
nagich konarów etiudę Chopina
Opus dziesięć numer trzy – T r i s t e s s e

PSALM

De profundis clamavi (Vulgata, Psalm pokuty CXXIX)

Czy naprawdę – czy tylko śni się
że w każdym miejscu na ziemi – gdzie Pan
rozbił (rozbija rozbija) swój namiot
miłosnej sugestii – i tworzy

jak niegdyś w przemienieniu
wobec trzech: – że za każdym takim koczowaniem
przychodzi na świat nieśmiertelny
duchowy człowiek – Adam i Ewa

Jego „ciało” jest wieczne – zawsze zdrowe młode –
Tylko w tym stanie mógł niegdyś obrazić
i może nadal obrażać
swego Stwórcę

Ja wierzę w tę parę biblijnych ludzi
wypędzonych z raju –
Jest tajemnicą ich winy
w jaki sposób oblekli się

w zwierzęce tkanki – gdy Pan usunął stamtąd swój
namiot – i odsłonił przed nimi
nagą surową nieżyczliwą ziemię –
Nie od małpy pochodzi człowiek

Gdyby od niej pochodził
nie byłoby w nim nigdy walki i rozdarcia
pomiędzy dwiema naturami –
dramatu – co go odróżnia tak bardzo

od zwierzęcia
– Ta przeciwstawność jest w każdym człowieku –
i każde ludzkie życie jest
uporczywym i pełnym cierpienia

mozolnym powracaniem –
co jest możliwe dzięki sumieniu
i łasce śmierci –
Rozbij znów Panie swój namiot na ziemi

i wskrześ człowieka bez skazy
w niezliczonym potomstwie grzesznych
prarodzców –
i przywróć nam utracony raj

za cenę ludzkiej doli i męki

twego Syna – Jezusa –
Skłoń swoją głowę w Nim – i powiedz Jego głosem:
amen

CHWILE

Andrzejowi Grzybowi

Niezmiennie urzekająca jest
każda chwila –
przepelniona po brzegi trzema kropelkami:
miodu mleka i wody ze źródła

I błogosławiona jest
każda chwila – nad którą w rozpostartej ciszy
kołysze się cień w intensywnym blasku
słońca o południu

Niezwykła jest każda – w której
wiatr kreśli na piasku tajemnicze znaki –
a ona jakby wpatrzona równo
w oczy śmierci i życia

nagle się słania blednie – znika
w bezkresnym błękicie –
pozostawiając po sobie tylko
ostrą woń macierzanki i milczenie nieba

Wszystkie spotkałem na rozstajach
przy męce pańskiej – i mam je w sercu
oprócz ostatniej – która umknęła stąd jakby
naraz – pod wpływem trwogi i zachwyty

O LĘKU ISTNIENIA

Długo i potajemnie wzrastało w człowieku
ciśnienie lęku – nim rozpoznane
jako klaustrofobia
strąciło z duszy pokrywę spokoju
w dwudziestym wieku –
ale bynajmniej nie zmaląo

I wciąż na próżno szuka dla niego
ujścia – paniczną trwogą ogarnięty człowiek
przykuty do ziemi –
i uwięziony w dźwiękoszczelnej
czasoprzestrzennej celi

Na próżno chowa głowę – jak struś
w rozkoszy i zbytku –
Żaden wysiłek ani znużenie –
ani nic z ziemi – z ciała
choćby na chwilę nie uśmierzy
coraz gwałtowniej eksplodującej w nim
egzystencjalnej trwogi

Na próżno trują się uczeni
daremne ich wyprawy na progi kosmosu –
Jedynie gdyby powrócili
do zarzuconej intuicji dziecka –
bez trudu by znaleźli ujście dla ciśnienia grozy
tuż obok fałszywego – w śmierci –
w zapomnianym Bogu

PRZY DRODZE

Wszystko było przy drodze:
wieś – w której niegdyś geniusz się narodził
i miasto w którym umarł głupiec

Były łąki wszere których mieniły się kwiaty
i głązy które porastał mech –
I były lasy pełne śpiewu ptaków
i wody nieme od milczenia ryb

I były słupy na poboczach
złączone z sobą drutem – na którym jak na strunie
piórem – wicher rzewnie grał

Coraz z przestrzeni wybiegały
żywe zwierzęta – by w następnej chwili
rozwiąć się luźnym stadem zjaw

A gdzie się droga nagle mnożyła w ulice
z obu stron nisko kłaniały się jej
rudery i pałace –
i nieco dalej – gdzie się znów ścieśniała

cmentarne krzyże – życie i śmierć –
Wszystko – o wszystko było przy drodze:
radość i smutek – starość i dzieciństwo
póki się nie skończyła w jakimś

zupełnie obcym –
nieodgadnionym miejscu

OBRAZ

Jakże to dawno temu było
gdy ich spotkałem –
Wspomnienie czyste bez niedomówień
jak piękny obraz nieznanego mistrza

Szli rzędami
pochyłym polem nieco pod górę
w stronę zachodu –
Płonął już – łuną odbity w ich oczach

Na czele jednego z szeregów
ładna dziewczyna w buro-zielonym
mundurze – z bronią na ramieniu
machnęła do mnie rękę z pozdrowieniem

Trudno ich było nie podziwiać
tam – wtedy
pewnych zarówno siebie i zwycięstwa –
prostych i szczerych w swym zamiarze

I dobrze było ten czysty obraz
łśniący jak płomień zatrzymać w pamięci
jeszcze bez pytań – na które
próżno by szukać u nich jasnej odpowiedzi

Cóż mogli wiedzieć w tamtejszym czasie
zarówno o prawdziwej klęsce –
jak i o
niekłamany zwycięstwie – zacytowani mitem

I czy wiedzą dziś
jak przywrócić blask męstwu
na tym obrazie w mojej pamięci –
tak rychło obrócony podłym kłamstwem wniwecz

Czas szybko bieży i płowieją barwy
dziś jeszcze w żywym – jutro w umarłym
pojutrze w nikim –
Kto w odległej przyszłości zdoła znaleźć prawdę

OSTATNI WYSTĘP

W odwiecznym chórze świata
i ja też jestem instrumentem
śpiewnego głosu
tylu postaci wywiedzionych z ziemi –
tylu pół-widm pół-ciał
zawieszonych w przestrzeni – zestrojonych w czasie

Szeptaleś przez me usta listku
śmiałaś się przez me oczy fontanno
porannych blasków i wieczornych treli –
Orałaś moje serce nawałnico grozy
organami zburzonych
kościółów

Jak na grzebieniu skalistych klifów
grały na moich rozwichrzonych włosach
przyływy i odpływy mórz
w te noce – które tocząc me sny
kruszyły śpiewnym grzmiotem głucho milczenie gwiazd

Dobyto ze mnie wszystkie dźwięki świata:
niskie wysokie ciemne jasne
ciche i głośne –
które po teraz spłynęły we mnie
ze wszystkich czasów
wygnane z drętwej ciszy ostatecznie zgasłej

dla żywych serc – przeszłości –
Tak więc zostało mi jedynie
jak ptakom na odlocie – zaśpiewać tę ciszę
jak można najpiękniej – i nasłuchując
jej milknącego w pustej przestrzeni
echa – opuścić scenę

bez kwiatów bisów uniesienia –
bez oklasków

RZEKA

Długo iść trzeba było brzegiem
ciemnej rzeki
począwszy od jej źródła – co nagle wytrysło
życiem wśród nocy

Długo się trzeba było przedzierać
niepewnym krokiem przez czas
gęsty od zdarzeń – i przez przestrzeń – niczym
ruchoma ściana wichru blokująca drogę

Stopy obrzękły od tego marszu
przez swoje i nie swoje losy –
i nieraz oddech podobny do jęku
chrypiał: Dalej już nie

mogę –
I opadały znużone ręce
a niespokojna myśl pytała: Dokąd –
i wtórowało jej w tym serce

drżące z obawy: – czy starczy życia
na osiągnięcie celu
gdzieś tam – dokąd zmierzała ta milcząca rzeka
krętym korytem

A jednak wystarczyło i tchu i kroków –
i oto stoi stary siwowłosa człowiek
nad morzem łaski –
w które się wnurza rzeka jego życia

....

Nie ma żadnego wyjścia z siebie
na wolną przestrzeń – w słoneczne ogrody
w bezgraniczność

Nikt nie jest odgradzony od rajskiej doliny
ani od szczytu promiennej góry
czymś więcej niżli samym sobą

Przestańcie szaleć w urojonej celi
własnego j a
pod wpływem przeraźliwej trwogi przed

życiem i śmiercią -
To tylko ona jest waszym więzieniem
waszym łańcuchem i obrozą

To tylko nasze myśli jak nocne motyle
wciąż się szamocąc nieprzytomnie
w powodzi blasku

cieniem swych skrzydeł mącąc jego jaśń
podpowiadają duszom nieobecne groby
tam – gdzie odnajdą swe życie na zawsze

w Bogu
ledwie przez chwilę oddzielone od
Jego wszechobecności

Ufność nigdy nie spyta Wszechdobroci: Po co
wiara niczemu się nie zdziwi
miłość obejmie – myśl się nawróci

Wszystko było otwarte przed tobą człowieku
na ziemi – póki nie uległeś
panice zmysłów – trwożnemu złudzeniu

.....

Te dziwne sceny i zjawiska
żywe istoty i nieożywione
rzeczy – muszą przecież gdzieś być
skoro się niespodzianie narzucają oczom
pod przymkniętymi powiekami

Mimo że niemożliwe
musi gdzieś istnieć to złote gniazdo
na górze z wiatru wstrzymanego w biegu
i ten ptak niemy co wciąż spieszenie mknie ku niemu

wciąż stoi w miejscu

Nie mogły wziąć się znikąd
te pół-roślinne pół-zwierzęce
zbite w tłum
sterczące u stóp wiatrowego wzgórza
wpatrzone w złote gniazdo postaci

Ani te – co spojrzeniem pół-cieni pół-rzeczy
mierząc gniazdo i ptaka
ważąc lot
przepowiadają z ludzkich stłumionych ust:
nie doleci

Gdzież powstał obraz ten
skoro wyrzeka go się pamięć
i nie znajdują go w sobie
przestrzeń ani czas
Wypiera się go niebo zaprzecza mu ziemia

Czy tylko dlatego że ten ptak
pokrewny letniej błyskawicy
nie wydał z siebie gromu
składanych skrzydeł
i tylko raz się w zawieszeniu

z dala od swego gniazda mamiącego złotem
ukazał w polu śmiertelnego wzroku
jak poroniony szkic zdarzenia
czy jako projekt godny spełnienia
poddany próbie życia

KŁOPOT

Dziś – jak donoszą media
w kolejnej z rzędu katastrofie
lotniczej
zginęło ponad sto sześćdziesiąt osób

Ocalało tylko dziecko:
kilkuletnia dziewczynka –
I teraz oto jedynie z nim
jest kłopot jak z aniołem który spadł z obłoków

Na straży przy nim znak zapytania
niepewna niańka losu –
i wyrok nieba w zawieszeniu
w ukrytym celu

O wiele prostsza sprawa z tymi co zginęli:

Czas szybko wchłonie drżące w przestrzeni
echo śmiertelnej trwogi
współczucie stłumia nowe wydarzenia

Tylko to dziecko które przeżyło
przyśni się czasem sobie aniołem co pośród
łaskotu zleciał z obłoków na ziemię
i budząc się człowiekiem zanim

w pełni oprzytomnieje –
czując dziwny niepokój za każdym się razem
rozgląda ślepo
i pyta wyłonionych z mroku ścian:

.
Gdzie jestem – co się stało –
Szamocę się przez chwilę jak uwięziony ptak
by ukojony błogą ciszą
znowu powrócić w sen

NIEWIERNI

Młodzi romantyczni
– zakochani
coraz to inni – wciąż ci sami –
którzy dziś z żalem patrzą na przekwitające
lasy łąki ogrody
– jutro – gdy jesień sypnie złotem –
i kiedy będą słodkie kosztować owoce
całkiem o kwiatach wczorajszych zapomną
choć im przez wieki wieńczyły skronie

JESIENNA POBUDKA

Do czegoś trzeba wstać
– dźwignąć w pochmurny dzień bez nazwy
ciężar lat –
Ubrać się umyć pościelić tapczan
nawiązać kontakt z szarym otoczeniem

Koniecznie trzeba do kogoś (czegoś)
przyjaźnie uśmiechnąć się
– Może jeszcze nie wszystkie kwiaty
przekwitły w ogrodzie –
i nie wszystkie ptaki odleciały stąd

Do czegoś trzeba wstać
ogolić się – uczesać włosy –
i cierpliwie zaczekać z uśmiechem na twarzy

na życzliwą odpowiedź
Zawsze się znajdzie jakieś szkiełko

co nagłym błyskiem przywróci sens życiu
na kilka chwil
lub może nawet na trochę dłużej –
Więcej nie można wymagać od
jesieni

:

